Numer gwiazdkowy 10 str.

CENA 2/6

JEŚLI LEKI TO Z APTEKI
APTEKA GRABOWSKIEGO
Dział Wysyłki Leków
175, DRAYCOTT AVENUE LONDON S. W. 3
Tel.: KEN 0750
Wysyła wszelkie leki do Polski i innych krajów
W APTECE GRABOWSKIEGO
DOSTANIESZ WSZYSTKO DLA CHOREGO!

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

W NUMERZE:
Stefan Badeni, O. I. M. Bocheński, O. P., Marian Bohusz Szyszko, Marian Hemar, Mieczysław Jałowiecki, Stanisław Kościałkowski, Jerzy Dołęga Kowalewski, Luigi Pirandello, Wiesław Pisarczyk, Bronisław Przyłuski, Maria Strzałkowska, Stanisław Westfal, Maria Winowska, ks. Marcin Wojciechowski.

ROK VI. Nr 51/2 (287/8)

LONDYN, 21-28 GRUDNIA 1952 R.

ZOFIA KOSSAK

W PRZEDEDNIU

Nic jeszcze nie wskazywało, że wielkie Oczekiwanie zbliża się do końca. Świat sunął zwykłą koleją, a klepsydra Czasu przesypywała narodziny i zgony, w porządku obowiązującym od zarania wieków. Nic się nie zmieniało. Miłość, nienawiść, żądza, przemoc, głód splatały się w ten sam wzór właściwy światu, odkąd zaczął panować mu człowiek. A jednak w tej niezmienności prześwitywały jak gdyby błyski dalekie, w gwarze życia brzmiały nieznane dotychczas głosy przynaglające nieświadomych do pośpiechu.

W niezliczonych kancelariach urzędów cesarskich skrybowie przepisywali edykt tyczący spisu wszystkich mężczyzn żyjących na obszarze państwa rzymskiego. Tok urzędowania nie był nigdy śpieszny, zwłaszcza gdy wiadomym było, że dany rozkaz dojdzie do granic cesarstwa, jakiejś Brytanii, czy Judei, najwcześniej za kilka miesięcy, przeto dzień lub dwa opóźnienia nie odgrywały roli. Lecz dziwna rzecz, tym razem skrybowie pracowali śpiesznie, jak gdyby w obawie, że przepisywany przez nich edykt wydany przez cesarza Augusta, nie zdąży dokądś na czas.

Właściciel zajazdu kazał parobkowi naprawić szczelinę w sklepieniu groty służącej za stajnię. Szczelina utworzyła się przed paru laty na skutek trzęsienia ziemi i parobek nie pojmował przyczyny pośpiechu, z jakim polecono mu dokonać tej roboty. Gospodarz nie wiedział również.

Na wpół obłąkany tyran kazał przybocznej straży ostrzyć miecze. Przeciw komu? — nie wiedział. Bał się. Kogo? Nie umiał powiedzieć. Lecz drżał.

Uczeni w Piśmie odkładali święte Księgi i przecierając zmęczone oczy nasłuchiwali, jak gdyby czekając, że Ktoś im sens proroctw podpowie. Kto by to jednak miał być — nie wiedzieli.

Nie zanosiło się pozornie na żadną odmianę i wtedy, gdy sędziwy mag perski, dla wielkiej mądrości zwany Malki-or, czyli król światła, ujrzał wewnętrznym wzrokiem duszy gwiazdę jaśniejącą na niebie. Przedziwne zjawisko nie było zwidem sennym, nie było też niespodzianką. Malki-or, powiernik ukrytej wiedzy przekazywanej przez nielicznych wtajemniczonych z pokolenia w pokolenie, umiał odróżnić złudzenie od Znaku.

Otoczenie starego maga nie spostrzegało na niebie żadnej nowej gwiazdy, ale dla niego jaśniała ona wyraziście. Kazał sługom przygotować wielbłądy do wyjazdu, co wydało im się rzeczą niezwyczajną, Malki-or bowiem od wielu lat nie opuszczał swojej wieży, przy tym pora deszczowa świeżo rozpoczęta sprzeciwiała się podróży. Deszcz błogosławieństwem bogów, lecz gdy z nieba walą się strumienie wody, każdy rad szuka schronienia pod dachem albo w namiocie. Niemniej Malki-or nie zmienił postanowienia i ruszono w trzy wielbłądy. Stary uczony jechał pośrodku zawinięty w opończę, obojętny na zlewę i zimny północny wiatr. Wielbłąd parł przez strugi wody, kołysząc się jak statek. Niskie ciężkie chmury pokrywały niebo zasłaniając słońce w dzień a księżyc nocą. Ilekroć jednak mędrzec skupił wolę i popadł w widzenie, promienie tajemniczej gwiazdy przyzywały go ku sobie wskazując kierunek na zachód.

Drugiego tygodnia podróży spotkali orszak podobny. Zza ściany deszczu wychynęły łby trzech wielbłądów. Na środkowym skulony, przemokły siedział mędrzec zwany w swej ojczyźnie indyjskiej Gudnaparem, a w tutejszej krainie Gasparem. Malki-or i Gaspar znali się od dawna i ucieszyli ze spotkania wzajemnie.

— Co cię skłoniło do podróży, czcigodny Gasparze? — pytał ostrożnie Malki-or.

— Sługę twego wygnało z domu to samo zapewne zjawisko, co ciebie, Malki-orze. Ujrzałem gwiazdę...

Mag perski rozjaśnił się.

— Ujrzałem ją również i widzę nadal skoro spojrzę w duszę swoją. Wskazuje na zachód, jedźmy za nią razem!

Jechali dalej, nie dbając o zimno i deszcz. Odzywali się rzadko do siebie nie potrzebując słów, by znać swoje myśli. Myśli te krążyły uparcie wokół jednego przedmiotu.

Rysunki: ZYGMUNTA TURKIEWICZA

— Obiegłem wzrokiem wewnętrznym cały świat — rzekł na jednym z postojów uczony Gaspar — nie ujrzałem nigdzie niecodziennego zdarzenia, które by usprawiedliwiało, że zostaliśmy wezwani.

— Pan układa swoje wyroki zawczasu — odpowiedział Malki-or. Rolnik wychodzi siać ziarno w tym dniu, a nie innym, na tej, a nie innej roli, by po paru miesiącach zgłodniały wędrowiec mający przechodzić tamtędy mógł wykruszyć dojrzały kłos i posilić się... Kazano nam wyjechać wczas jak łowcom ruszającym nocną porą na ptaki budzące się dopiero o świcie...

*

Gdy minął piąty tydzień ich wędrówki i deszcze stały się rzadsze, spotkali trzeciego towarzysza dążącego w tę co oni stronę. W przeciwieństwie do obu starców był młodzieńcem. Lica magów przypominały wyschnięty pergamin, jego skóra była czarna. Na krótkich wełnistych włosach miał złotą opaskę. Towarzyszyła mu bogata świta.

Zatrzymał wielbłąda przed jadącymi i zeszedł na ziemię.

— Po stroju poznaję mędrców — rzekł. — Raczcie mi powiedzieć, czcigodni magowie, czy jedziecie wezwani przez gwiazdę?

— Ktoś jest, który o to pytasz?

— Jestem Baltazar, król krainy Kusz, zwanej też Etiopią. Kapłan stary i bardzo mądry, siedzący z mego pałacu bieg losów świata, zobaczył w widzeniu gwiazdę i powiedział mi, że dopełniają się czasy. Narodzi się Mesjasz, król ziemi i nieba, zapowiedziany od wieków.

— Gdzie jest ten kapłan, brat nasz?

— Zdrowie ma słabe, przeto został w domu, bojąc się pory deszczowej. Pytałem go, w której stronie ujrzał gwiazdę. Powiedział, że na zachodzie. Ruszyłem w drogę nie zwlekając, ale ja gwiazdy nie widzę. Raczcie powiedzieć, czcigodni mężowie, czy podążacie jej śladem?

— Widzieliśmy gwiazdę i jedziemy za nią. Przyłącz się do nas, królu Baltazarze.

Podróżowali we trzech od tej pory. Zimny wiatr dął, spóźnione obłoki spuszczały nagłe ulewy, lecz w powietrzu czuć było nadchodzącą wiosnę. Poprzednie milczenie jadących ustąpiło miejsca rozmowie, gdyż król etiopski zasypywał obu magów pytaniami. Odpowiadali mu uprzejmie i cierpliwie jak dziecku, ceniąc zapał, z jakim puścił się w drogę, a także pragnąc zatrzeć wrażenie niegodnego postępku małodusznego kapłana, co choć wezwany, uląkł się złej pory.

— Co znaczą te słowa, że czasy się dopełniają? — zapytywał z żywością Etiopczyk. — Czas ucieka przez palce jak woda i nic go nie wstrzyma. Jakoż może się dopełnić?

— Czas mija istotnie, jak obłok pędzony wiatrem, lecz *czasy* się dopełniają. Dobiega kresu pokuta. Był czas śmierci, a nadejdzie czas życia. Był czas tęsknoty, nadchodzi czas radości i uwielbienia. To rozumiemy pod słowami, że dopełniają się czasy. To przyniesie ludziom Ten, którego przyjście jest zapowiedziane.

— ...Wielu braci naszych żyło, umierało, nie doczekawszy się spełnienia zapowiedzi. Nam dano być pokoleniem mędrców, którzy zobaczą Oczekiwanego. Zarazem będziemy ostatnim pokoleniem stróżów Prawdy Wiekuistej.

— Dlaczego ostatnim? — zapytał znowu Baltazar:

— Bo wieść przechowywana dotychczas w ukryciu zostanie jawnie ogłoszona światu. Co było dotąd szeptane w komorach, będzie przepowiadane na dachach. Póki na świecie trwa mrok, potrzebni są słudzy czuwający z kagankami. Gdy słońce wzejdzie, komu potrzebny kaganek?

— Raczcie nie obruszać się na mą ciekawość, czcigodni mężowie: skąd pewność, że gwiazda zwiastuje Mesjasza, nie inne zdarzenie?

— Stąd, że serca nasze pałały ujrzawszy jej blask. Że proroctwa judejskie wskazują na obecną porę. Że świat stoczył się na dno złości i rozpaczy. Patrząc na dzieje obecne można by mniemać, iż ludzkość zginie w swym szaleństwie, my wiemy jednak, że dłoń Pana pochwyci ją w porę. Świat zostanie ocalony za sprawą Mesjasza, którego zwiastuje gwiazda...

— W jakiej postaci ukaże się On, czcigodni?

— Nie wiem — przyznał szczerze Gaspar.

— I ja nie wiem, — przywtórzył Malki-or. — Nie naszą rzeczą odgadnąć, jaką postać zechce przyjąć Słowo Boże...

— Któż zatem wie, skoro wy, posiadający wszystką mądrość świata, tego nie znacie?

— Jeżeli mądrość oznacza przyznanie się do niewiedzy, zasługujemy na to miano, królu Baltazarze. Wiemy tylko tyle, że zostaliśmy wezwani. To nam wystarcza.

— Nie poznamy Go nie wiedząc, w jakiej się ukrył postaci!

— Zbądź tej obawy, młodzieńcze. Rozpoznamy Go, jakikolwiek przyjąłby na siebie kształt. Złożymy Mu pokłon i ofiarujemy dary...

— Ja wiozę złoto. Królom przystoi składać w darze złoto, On zaś jest Królem Nieba i Ziemi...

— Ja Mu ofiaruję kadzidło jako Bogu Jedynemu...

— Zasmucacie mnie, czcigodni. Nie pomyślałem o darach. Mam ze sobą tylko myrrę, odpowiednią na dar dla człowieka mającego umrzeć, nie dla Pana tak wielkiego...

— On będzie cenił chęci więcej, niźli dar.

— Zali żadne proroctwo nie mówi o tym, jak On się pojawi?

— Proroctw jest wiele, ale każde brzmi inaczej. Niektórzy mniemają, że Mesjasz spuści się na ziemię w postaci potężnego orła. Inni — że gołębicy... Niektóre ludy wierzą, iż urodziwym młodzieńcem wyjdzie z jamy twej, a dzikie bestie ułożą się wokół Jego stóp, pokorne jak owce... Jeszcze inni oczekują, że spłynie z Nieba w postaci ognistej kolumny. Jak będzie naprawdę — nikt nie wie. Bóg jest duchem. Duchem, dla oczu ciała niewidzialnym, będzie i Mesjasz, Słowo Boga Przedwiecznego. By dać się poznać, musi oblec ciało ziemkie, dla ludzkiego wzroku dostępne. Któż przewidzi, na jaki kształt wybór Jego padnie? Ośmielamy się spodziewać, że przyjmie postać człowieczą, gdyż ludzi przychodzi zbawić, a nie obłoki lub ptaki...

— Słusznie wnosicie, czcigodni. Przyjdzie pełen siły i mocy. Ujrzymy Go jako władcę potężnego, wobec którego cezar rzymski prochem.

— Ja sądzę raczej, że przybierze postać mędrca, gdyż wiedza góruje nad siłą.

— Gdzie kształt doskonalszy, niż mężny wojownik, którego miecz niezawodny, a serce oddane sprawiedliwości? Wierzę, iż zobaczymy Go w zbroi rycerza.

— Kimkolwiek będzie, uznany w Nim Pana...

Umilkli, nie na długo, gdyż Baltazar podjął:

— Jedziemy wytrwale na zachód, gdzie rozciąga się Wielkie Morze. Co uczynimy, czcigodni, jeśli dojdziemy do brzegu, a gwiazda wskazywać będzie dalszą drogę?

— Poniechawszy wielbłądy i sługi, najmiemy łódź i popłyniemy za gwiazdą.

— Wybaczcie niestosowną moją ciekawość, o mędrcy. Co uczynimy, jeżeli gwiazda w widzeniu waszym zgaśnie, nie ukazawszy Mesjasza?

Cisza zaległa. W ciszy drżało pytanie rzucone przez Baltazara, aż odparł na nie mag perski:

— Jeżeli gwiazda zgaśnie, nie doprowadziwszy do celu, będzie to znakiem, że okazaliśmy się niegodni oglądać Zbawiciela. Inni, nie my, złożą Mu hołd pierwsi.

— Cóż uczynimy wtedy, cóż uczynimy? — nalegał Etiopczyk.

— Wrócimy każdy do domu swego, dzięki czyniąc Panu, że raczył zstąpić z wysokości na ziemię.

Zofia Kossak

WŁADZOM RZECZYPOSPOLITEJ, NAJPRZEWIELEBNIEJSZEMU PROTEKTOROWI UCHODŹSTWA, PRZEWIELEBNYM WIKARIUSZOM GENERALNYM, WIELEBNEMU DUCHOWIEŃSTWU, POLAKOM W KRAJU I NA OBCZYŹNIE, WSPÓŁPRACOWNIKOM, CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM — BŁOGOSŁAWIEŃSTWA BOŻEJ DZIECINY I JEJ POMOCY WE WSZYSTKICH POCZYNANIACH — ŻYCZĄ

REDAKCJA I ADMINISTRACJA „ŻYCIA"

oraz

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

Kolęda różańcowa

Kłaniajcie się, śliczne zdrowaśki, naszej niebieskiej Pani,
Różanemu Jej Dzieciąteczku różowymi zakwitajcie różami!
Otwórz się, serce, na oścież całe ku niebu się podaj,
Abyś nie było nieczułe jak betlejemska gospoda.

Od gadatliwych wędrowców, od kupców kalkulujących,
Od przejezdnych faryzeuszów, od celników liczących myta,
Od lewitów, saduceuszów, moabitów i samarytan —
Opędź się, serce, opędź od myśli, myśleniem grzeszących!
Pozrywaj ze ścian makaty ciężkie od haftów i dżetów,
Ogołoć się z kobierców aż po otwarte przedsienie,
Obróć się ku gwiazdom wieczornym i drodze od Nazaretu,
I — całe nasłuchujące — w skalną stajenkę skamieniej.

Nad drogą samotna pinia czarnym rozwiewa się kwefem...
Idzie Najświętsza Panienka razem ze świętym Józefem...
Pokorna Maria z trudem po drodze skalistej kroczy,
Wytartą chustką od wiatru zakrywa się aż po oczy;
A Józef nie ma na głowie aureoli złotopromiennej,
Tylko starą czapkę ze skóry, spiętą na paski rzemienne.
Biją pogwary i światła od rynku betlejemskiego,
I brzęczą w dłoniach denary, a puste słowa na wargach;
Wiatr w żłobie niechędożonym zetlałą słomę targa,
Kolebeczkę szykuje i ściele dla Króla Wiekuistego.

To ostatnia godzina pomroki, to ostatni lęk i niepokój,
I księcia ciemności przeloty, i lament, i płacz Izraela;
A już drżące oczekiwaniem zamierzchłe głosy Proroków,
Znów ożywają tej nocy dawnym przeczuciem wesela.

I nagle świat się jasnością i nową erą otworzył:
Dzieciątko się nam narodziło i dany nam jest Syn Boży!
Objawił się nam widzialny Bóg Dawidów i Abrahamów —
...per hunc in invisibilium amorem rapiamur!

Aniołowie Judei, Galilei, aniołowie Samarii i Libanu —
Porwijcie nas, unieście w płomienistą miłość ku Panu!
Pastuszkowie z dolin Hebronu i z nadjordańskich przełęczy,
I ze zbocz stromych Taboru, gdzie sęp i sokół kołuje,
Biegnijmy pod śpiew i pod jasność tam, gdzie przed Synem klęczy
Maria, co milczy i wszystko w swym sercu przechowuje.

Toczcie się, paciorki różańca, sypcie się ziarnem złocistym,
U stóp Jej wijcie się wdzięcznie sznurami pereł najczystszych!
Kłaniajcie się, śliczne zdrowaśki, naszej niebieskiej Pani,
Różanemu Jej Dzieciąteczku zakwitajcie różowymi różami!

Zofia Bohdanowiczowa

KAROL MAURRAS NIE ŻYJE

Dnia 16 listopada zmarł w klinice pod Tours w wieku lat 84 jeden z najświetniejszych pisarzy francuskich pierwszej połowy XX stulecia, Charles Maurras. Zwolniony z więzienia, w którym przebywał od r 1945 na podstawie wyroku, skazującego go za rzekomą kolaborację z Niemcami, zamieszkał on w marcu rb. w Tours i tam spędził ostatnie miesiące swego życia. Na wyrażone przezeń życzenie arcybiskup Tours Gaillard skierował doń kanonika Cormier, który odwiedził chorego już kilka miesięcy temu, później zaś przybywał kilkakrotnie. Umierający Maurras przyjął Ostatnie Sakramenta, potem poprosił o różaniec i modlił się niemal do ostatniej chwili.

Maurras był Prowansalczykiem; urodził się w r. 1868 w Martigues, na północ od Marsylii. We wczesnej młodości był namiętnym miłośnikiem literatury prowansalskiej i przyjaźnił się z Mistralem. Stopniowo zakres jego zainteresowań rozszerzał się coraz bardziej, obejmując poza poezją prozę filozoficzną, krytykę literacką i artystyczną, dziennikarstwo i publicystykę. Stał się jednym z wielkich mistrzów prozy francuskiej, co jednogłośnie uznawali nawet najzawziętsi jego przeciwnicy polityczni. W r. 1938 wybrany został członkiem Akademii Francuskiej.

Główną jednak jego pasją stała się polityka w szerokim znaczeniu tego słowa. Pod koniec XIX stulecia Maurras był współzałożycielem ruchu rojalistycznego, który przybrał nazwę „Action Française". On to powołał do życia miesięcznik „Revue de l'Action Française", który w r. 1908 przekształcony został na dziennik „Action Française"; redaktorami tego dziennika zostali Maurras i jego najbliższy przyjaciel polityczny Léon Daudet. Obaj z niezwykłą gwałtownością propagowali swe idee polityczne, atakując system republikański i odsłaniając jego błędy.

Publicystyka ta oddziaływała silnie na młodzież, zwłaszcza akademicką, nie zdołała jednak pociągnąć szerszych mas społeczeństwa francuskiego, przywiązanych do republikańskiej formy rządów po smutnych doświadczeniach XIX stulecia. Mimo to intelektualny wpływ Maurrasa był ogromny; wielu pisarzy francuskich, odrzucając jego tezy rojalistyczne i inne skrajne sformułowania, obficie korzystało z jego metod myślenia, z siły i precyzji jego stylu, a nawet z wielu idej.

Doktrynerstwo polityczne Maurrasa, któremu podporządkowywał wszystko, musiało go doprowadzić do konfliktu z Kościołem. Kościół nie mógł się pogodzić z usiłowaniami zaprzęgnięcia go w służbę jednej tylko doktryny politycznej i podporządkowania religii celom świeckim. Dzieła Maurrasa potępione zostały już przez Papieża Piusa X w r. 1914, potępienie to ogłoszone jednak zostało dopiero przez Piusa XI w r. 1926. Pewne złagodzenie tego dekretu nastąpiło w r. 1938, kiedy Stolica Apostolska cofnęła zakaz czytania przez katolików dziennika „Action Française".

Kiedy Francja załamała się w r. 1940 pod naporem pancernych dywizji niemieckich, Maurras poparł całą siłą swego pióra reżym marszałka Pétaina. Zrobił to jednak z zupełnie innych przyczyn, niż tylu publicystów francuskich, którzy poszli na kolaborację z Niemcami i głosili potrzebę współżycia obu narodów w dziedzinie kulturalnej. Maurras Niemców uważał za barbarzyńców i od młodości walczył z wpływami niemieckimi na umysłowość francuską. Pétaina popierał dlatego, że sądził, iż nadeszła pora na urzeczywistnienie idej, głoszonych przez ruch „Action Française". Kosztowało go to wiele: skazanie na dożywotnie więzienie w atmosferze pierwszych miesięcy powojennych, kiedy grały namiętności i kiedy o żadnym rzetelnym wymiarze sprawiedliwości mowy być nie mogło. W zarzut kolaboracji Maurrasa z Niemcami nikt na serio we Francji nie wierzył.

Maurras przetrzymał więzienie z niezłomnym stoicyzmem i odwagą. W więzieniu pisywał artykuły, które pojawiały się, za zgodą władz, w tygodniku „Aspects de la France". Zaraz po zwolnieniu przeszedł do kontrataku i domagał się postawienia w stan oskarżenia ludzi, odpowiedzialnych za sposób, w jaki po wojnie przeprowadzona została tzw. „épuration" („oczyszczenie"). Nie zaprzestał pracy pisarskiej do ostatnich tygodni życia.

Na krótko przed zgonem Maurrasa pojawiła się bardzo interesująca książka o nim: „Maurras et notre temps", której autorem jest Henri Massis.

KS. M. WOJCIECHOWSKI

SENTIRE CUM ECCLESIA

EKONOMIA WCIELENIA A MATKA BOŻA POŚREDNICZKA

Pierwsze wieki chrześcijaństwa na Wschodzie były bujne bogactwem myśli teologicznej. Wyraziło się to nie tylko w precyzji pojęć na ówczesnych soborach powszechnych, ale nawet w odchyleniach doktrynalnych. Herezje, jak wiadomo, błądziły, ale warte jest podkreślenia zjawisko, że nawet w swoich błędach ludzie u podstaw mieli wiarę w Chrystusa.

W VI wieku zjawia się postać św. Sofroniusza. Teolog, wielki czciciel Maryi, patriarcha jerozolimski, z dobrze przygotowanym aparatem naukowym, występuje w obronie wiary przeciwko herezjom. Dokeci, którzy nie uznawali w Chrystusie ciała prawdziwego, manichejczycy, którzy niczym innym nie byli, jak ówczesnymi nihilistami, eutychianie, którzy z Chrystusa usuwali naturę ludzką, mahometanie i rygoryzm Oryginesa. Te herezje były już jednak w zaniku. Nowa natomiast herezja, która powstała, zwana monoteletyzmem, twierdziła, że Chrystus miał tylko jedną wolę i jedno działanie.

Św. Sofroniusz w swojej doktrynie o Wcieleniu wystąpił przeciwko wszystkim herezjom, a w szczególny sposób uwagę skupił na tej ostatniej. Do ekonomii Wcielenia wprowadza postać Matki Bożej. Ona współdziałała w rozdawnictwie łask boskich i współuczestniczyła w samym Odkupieniu. Sofroniusz w swojej nauce jest zawsze świeży, a przez swoje akcenty mariańskie staje się nam bardzo bliski.

1) DEKRET WCIELENIA. Ten problem, znany w teologii, zawsze zajmował żywo umysły wszystkich teologów.

Jaki był cel Wcielenia — zbawić człowieka w grzechu upadłego, czy też oddać chwałę Bogu? Św. Tomasz z Akwinu mówi, że opinie były różne. Jedni twierdzili, że Syn Boży wcieliłby się nawet wtedy, gdyby człowiek był nie zgrzeszył, wprost aby ukazać najwyższe dzieło Boże, jakim jest Wcielenie. Inni natomiast, a za nimi i św. Tomasz jest zdania, że Wcielenie dokonało się dzięki tylko temu, aby wybawić człowieka z upadku grzechu pierworodnego. Gdyby człowiek nie zgrzeszył, nie wcieliłby się Syn Boży. Ta opinia ma za sobą pozytywne dowody z Objawienia.

Św. Sofroniusz twierdzi, że Syn Boży wcielił się, aby wybawić człowieka z niewoli i przywrócić go do stanu pierwotnego, łaski Bożej. Człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boże, kiedy zgrzeszył, opuścił Boga i zaczął służyć dziełom rąk ludzkich. Powrócić zaś do stanu pierwotnego człowiek sam, o własnych siłach, nie był w stanie. Jedynie Bóg wcielony mógł mu w tym pomóc.

Motywem Wcielenia Bożego, według św. Sofroniusza, jest jedynie miłosierdzie Boże, dobroć i umiłowanie człowieka. „Ten, który człowieka, mówi on, na początku uformował, utworzył go na obraz i swoje podobieństwo, nie miał innej racji, jak tę, aby człowieka zbawić i własny obraz w nim odtworzyć... Słowo Boże, Bogiem pozostając i Słowem Bożym, w materię się przyobleka. Niestworzony, od Boga Ojca zrodzony, niestworzonym pozostając, tworzy się. Najwyższy staje się najniższym, przyjmuje cierpienia ten, który z natury jest niecierpiętliwy; pozwala się oglądać i dotykać ten, który z natury jest niewidzialny; przyobleka się w ciało ten, który z natury jest nieśmiertelny".

I nie tylko z grzechów uwolnić, ale wyzwolić jeszcze z boleści, usunąć ślepotę ostrze śmierci stępić, siłę zepsucia złamać, zwycięstwo piekła odsunąć, to zostało dokonane przez Chrystusa. "Przez niego, mówi Sofroniusz, śmierć sama umarła, wyrok piekła usunięty, Ewie kara odpuszczona, a panowanie śmierci zniesione".

2) ROLA MATKI BOŻEJ W EKONOMII WCIELENIA. Św. Jan Damasceński mówi, że samo imie Maryi uzasadnia całą tajemnicę Wcielenia. Jeżeli Matka Boża zrodziła Chrystusa, który jest Bogiem, to ten, kóry się narodził, musi być człowiekiem. Jakże inaczej mogłoby się stać, aby ten, co od wieków istnieje, z niewiasty mógł się narodzić, nie będąc człowiekiem? Bóg, który wybrał Maryję za przyczynę narzędną w dziele Wcielenia i Odkupienia, przyozdobił ją w przywileje takie, jak: Niepokalane Poczęcie, Dziewictwo, Macierzyństwo. Te przywileje stanowią organiczną całość z całą ekonomią Wcielenia Syna Bożego.

a) Duch św. zstępując na Maryję w dniu Zwiastowania, znalazł ją czystą, wolną od grzechu pierworodnego. "Duch św. zstąpi na ciebie, moc Najwyższego zaćmi tobie i to, co od ciebie narodzi się święte, nazwane będzie Synem Bożym". Z tego oświadczenia wynika, że zstąpienie Ducha św. miało na celu nie oczyszczenie z grzechu, jak to sądzą niektórzy teologowie niekatoliccy, lecz powiększenie jej świętości i uzdolnienie do przyniesienia owocu Bożego.

Św. Sofroniusz tak wysoko wynosi świętość Matki Bożej, że nie znajduje momentu, w którym by grzech mógł w niej zaistnieć. Ona w swej świętości jest przed wszystkimi innymi stworzeniami. Świętość Jana Chrzciciela, który, mówi Sofroniusz, jakkolwiek był największy między świętymi, bo w łonie matki uświęcony, ustępuje Maryi, bo ona grzechu pierworodnego nie miała. Św. Jan był prekursorem Zbawiciela, pośrednikiem między Nowym i Starym Testamentem, Maryja weszła w realny, fizyczny i ontologiczny stosunek względem Syna Bożego, jako jego Matka i mocą boskiego macierzyństwa stała się pośredniczką w dziele zbawienia rodzaju ludzkiego.

Św. Sofroniusz zwraca uwagę na moment Zwiastowania. Maryja zlękła się mowy Anioła, aby nie była zwiedziona, jak ongiś Ewa. Na podstawie tego porównania i paraleli Sofroniusz wynosi Maryję nad Ewę, nawet w jej stanie pierwotnej niewinności. Ewa była matką rodzaju ludzkiego, Matka Boża jest matką w nowym porządku. Ewa mogła była dać szczęście wieczne, Matka Boża je dała.

Maryja przewyższa nie tylko ziemskie, ale też i niebieskie twory rozumne — Aniołów. „Któż, mówi on, może wypowiedzieć twoją wspaniałość... Ty ozdobiłaś naturę ludzką, Aniołów przewyższyłaś, przyćmiłaś blask Archaniołów". Jej wspaniałość i świętość wypływają i z Boskiego macierzyństwa, i z mocy czystości, w którą została przyozdobiona.

W dziele zbawienia Maryja sprawuje urząd pośrednictwa między Bogiem a ludźmi. Słowu Bożemu, które chciało dokonać zbawienia, ona dała ciało, a ludzkości Zbawiciela. „Błogosławiona jesteś, mówi Sofroniusz, ponieważ przekleństwo Ewy w błogosławieństwo obróciłaś. Błogosławiona jesteś między niewiastami, ponieważ błogosławieństwo Ojca przez ciebie między ludzi weszło i od zła ich powszechnego wybawiło. Błogosławiona jesteś między niewiastami, ponieważ zrodziłaś Zbawcę, który zbawienie prarodzicom przynosi".

b) Dziewictwo. Izajasz prorok w proroctwie o Wcieleniu Słowa Bożego podkreśla jej dziewictwo, kiedy mówi: "Oto Dziewica pocznie i porodzi syna i nazwą go Emanuel".

Jak to się stanie? Mocą Ducha św. który jeszcze powiększy jej czystość i da siłę, aby owoc przyniosła; i mocą samego Chrystusa, który ją zaćmi. Anioł jej to zwiastuje a prawdziwość słów potwierdza faktem już zaistniałym, że Elżbieta poczęła w swej starości. A na to Maryja odpowiada: Oto ja służebnica Pana, niech mi się stanie według słowa twego.

c) N.M.P. jest matką ludzi. Maryja ponieważ Boga porodziła, stała się Bogarodzicielką w sensie rzeczywistym i naturalnym, a dla całego rodzaju ludzkiego została matką w sensie duchowym.

3) TAJEMNICA WCIELENIA. Aby przejść do rozważań tajemnicy Wcielenia, należy uwzględnić te elementy, które stanowią jej części składowe, jak to, że Słowo Boże wzięło prawdziwe ciało z łona Matki Bożej oraz to, że dokonała się w Chrystusie unia hypostatyczna.

a) Bóg Słowo, Syn Ojca jednorodzony, który od wieków z Boga Ojca się rodzi, zamieszkuje w niepokalanym łonie Dziewicy. Ten, który jest współistotny Ojcu, poczyna się w czasie, w łonie Maryi, przybierając formę ludzką.

Jak to się staje? Duch św. mocą swą zstępuje na Maryję i mocą od Boga otrzymaną Matka Boża rodzi syna, który Synem Bożym jest nazwany. Przy tym on, od samego poczęcia w niepokalanym łonie aż do śmierci, pozostaje prawdziwym człowiekiem. Słowo Boże, mówi Sofroniusz, nie złączyło się ani z ciałem, ani z duszą uprzednio istniejącymi, lecz łączy się z obojgiem współcześnie, kiedy one wchodzą w swoje istnienie, w momencie poczęcia natury ludzkiej.

b) Unia natur (w jednej osobie) według Sofroniusza, który idzie za nauką św. Leona W. i soboru chalcedońskiego, powinna być taką, aby one łączyły się realnie, ale bez uszczuplania i umniejszania ich.

Dwie natury jedną osobę stanowią. "Ciało z dziewiczej krwi wziął, duszę stworzył, to złączył w sobie na sposób hypostatyczny w osobie Syna". Właściwość osobowa jest to forma istnienia, którą Słowo Boże, kiedy rodziło się, jej udzieliło ludzkiej naturze, wziętej z Matki. Ta forma istnienia jest formą hypostatyczną Osoby Boskiej. Dwie natury, które nie stanowią jednej zbiorowej, nie zlewają się w jedną. „Ani Słowo swej natury nie przemienia w ludzką, ani natury ludzkiej, wziętej z Maryi, nie przemienia w Boską. Każda z nich pozostaje niezmieniona, niezmieszana, ani zlana z drugą."

Osoba Słowa mocą unii hypostatycznej staje się osobą dla dwóch natur: bóstwa i człowieczeństwa. Stąd o Chrystusie możemy mówić, że jest widzialny i niewidzialny, stworzony i niestworzony, cielesny i bezcielesny, ziemski i niebieski.

4) WARTOŚĆ CZYNÓW CHRYSTUSA. Ponieważ Syn i Ojciec mają jedną i tę samą naturę, stąd też właściwości Ojca przypisujemy Synowi. On jest nazwany dlatego mądrością Ojca. Św. Paweł mówi: „On jest obrazem Boga niewidzialnego, pierworodnym wszelkiego stworzenia, albowiem w nim wszystkie rzeczy są stworzone na niebie i na ziemi, widzialne i niewidzialne... wszystko przez niego i w nim jest stworzone, a on jest przed wszystkimi, a wszystko w nim stoi" (Kol. 1:15-17). Wszystko przez Słowo się stało. On matkę swą stworzył i on z niej się narodził nie tylko, jako człowiek, lecz jako Bóg i Syn Boży. Proroctwo Izajasza odnosi się do niego, kiedy mówi: „Maluczki narodził się nam, i syn jest nam dany, i stało się panowanie na ramieniu jego: i nazwą jego imię, przedziwny, radny, Bóg, mocny, ojciec przyszłego wieku, książe pokoju" (IX, 6).

Dwoistość cech, tak zdawałoby się paradoksalna, przypisywana Chrystusowi, tłumaczy się tym, że na mocy unii hypostatycznej, cechy Boskie odnosimy do natury ludzkiej, a cechy ludzkie do natury Boskiej. W teologii znane to jest pod nazwą "Communicatio idiomatum". Dlatego też Chrystusa nazywamy dziecięciem i Synem Bożym, Synem Najwyższego. „I da mu Pan Bóg stolicę Dawida ojca jego i będzie królował w domu Jakubowym na wieki, a królestwu jego nie będzie końca" (Łuk. 1:32).

Na skutek unii hypostatycznej wartość czynów Chrystusa staje się nieskończona. Skuteczność Odkupienia jego jest powszechna. Chrystus za wszystkich umarł i zmartwychwstał. On zbawił wszystkich, ponieważ we wszystkich odnalazł swój obraz, we wszystkich ten obraz chciał odnowić. I wszystkim dał się poznać, jako Zbawiciel. Wszystkim, którzy pragną z wiarą przyjść do niego, daje łaski: „A ilukolwiek go przyjęło, dał im moc, aby się stali synami Bożymi, tym, którzy wierzą w imię jego". (Jan. 1, 12).

Ks. Marcin Wojciechowski

ARCYPASTERZ

Ks. dr Józef Feliks Gawlina, Biskup Polowy W.P., z ramienia Stolicy Apostolskiej Protektor Polskiej Emigracji, mianowany został przez Ojca św. tytularnym Arcybiskupem Madyteńskim.

Ks. Arcybiskup dr Gawlina urodzi się dnia 18 listopada 1892 r. w Strzybniku na Śląsku Opolskim. Filozofię i teologię studiował we Wrocławiu i w Warszawie. Po wyświęceniu w 1921 r. na kapłana pracował w diecezji katowickiej w Kurii Biskupiej i na placówkach duszpasterskich, z których ostatnią była olbrzymia robotnicza parafia w Chorzowie. Był założycielem i pierwszym dyrektorem Katolickiej Agencji Prasowej (KAP) w Warszawie. W 1933 r. prekonizowany został na biskupa tytularnego Mariammeńskiego i Biskupa Polowego Wojsk Polskich. Po kampanii wrześniowej 1939 r., w której odniósł rany, Ksiądz Arcybiskup opuścił Polskę i przedostał się do Francji wraz z żołnierzami, którzy stanowili zalążek nowej armii polskiej, walczącej u boku aliantów. Jako Wizytator Apostolski dla Polaków deportowanych do Rosji Sowieckiej, przez dłuższy czas przebywał w 1942 r. w Związku Sowieckim. Od października tegoż roku był Ordynariuszem Polaków, którzy po opuszczeniu Sowietów rozproszeni byli na środkowym Wschodzie, tułając się po Persji, Iraku, Syrii, Libanie, Egipcie, Afryce Wschodniej, Indiach, jak również Nowej Zelandii i Meksyku.

Wraz z polskim żołnierzem odby Ks. Arcybiskup całą drugą wojnę światową i był na froncie we Włoszech, Francji, Belgii, Holandii i w Niemczech. Brał udział w historycznej bitwie o Monte Cassino i za niesienie w ogniu posługi duchowej walczącym żołnierzom i rannym otrzymał srebrny krzyż orderu Virtuti Militari.

Od 1945 r. Ksiądz Arcybiskup Gawlina jest ordynariuszem Polaków w Niemczech, a od r. 1949 z woli Ojca św. Piusa XII jest Opiekunem Polskiego Wychodźstwa.

W latach 1949-1952 Biskup Gawlina przeprowadził wizytacje pasterskie polskich emigracyjnych ośrodków we Francji, Niemczech, Wielkiej Brytanii, Belgii, Szwajcarii, Holandii, Danii, Hiszpanii, Brazylii, Argentynie i w Kanadzie.

W listopadzie br. nakładem Hosianum w Rzymie wydana została książka Księdza Arcybiskupa p. t. „Z wojny i z wygnania", będąca zbiorem jego listów i orędzi pasterskich, kazań i przemówień z lat 1939-1952.

Ks. Arcybiskup Gawlina rezyduje przy polskim kościele św. Stanisława w Rzymie (Via Botteghe Oscure 15, Roma).

Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" oraz redakcja ŻYCIA, tak wiele zawdzięczające Dostojnemu Arcypasterzowi, składają Mu obok serdecznych gratulacji wyrazy hołdu i synowskiego oddania.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Statua błog. Piusa X. 58 rocznicę ingresu błog. Piusa X jako patriarchy weneckiego uczciła Wenecja umieszczeniem w bazylice św. Marka statuy przedstawiającej tegoż papieża w postaci stojącej z rękami złożonymi do modlitwy.

Rocznica błog. Contarda Ferrinego. W obecnym roku minęła 50 rocznica śmierci błog. Contardo Ferrini. Żył on w czasach, kiedy zwłaszcza w Niemczech głoszono niemożność pogodzenia wiedzy z wiarą: życie błog. Contardo było najwyraźniejszym stwierdzeniem, że można być wybitnym uczonym prawnikiem i świętym człowiekiem. Sam Mommsen nie wahał się powiedzieć, że Ferrini swymi pracami badawczymi sprawił, iż prymat studjów prawnych przeszedł z Niemiec do Włoch.

Apostolstwo liturgiczne. Od połowy minionego stulecia rozpoczął się wielki ruch liturgiczny, mający na celu zbliżenie ludzi świeckich z powrotem do ksiąg liturgicznych Kościoła katolickiego: do mszału i brewiarza. Olbrzymie zasługi położyli na tym polu benedyktyni Guéranger, Baeumer, Schott, Parsch i inni. Obecnie włoskie „Dzieło Królestwa Chrystusowego" przystąpiło do zorganizowania w Rzymie kursu konferencyj mających zilustrować skarby brewiarza.

Czy posąg św. Heleny? W muzeum kapitolińskim w Rzymie znajduje się posąg przedstawiający siedzącą niewiastę, którą miała być Agryppina, żona Germanika. Ostatnio dr Raissa Calza po długich badaniach wystąpiła z tezą, że posąg ten pochodzi z wieku IV po Chrystusie i przedstawia św. Helenę, matkę cesarza Konstantyna; posąg wykazuje zupełne podobieństwo rysów z rysami cesarza Konstantyna, a wiadomo z wielu źródeł historycznych o niezwykłym podobieństwie cesarza do matki, św. Heleny. Ponadto, identyczne są rysy i przybranie głowy św. Heleny na znanym brązowym medalionie przechowywanym w British Museum, a wybitym na cześć matki przez Konstantyna w latach 326 do 329.

Nominacje w Sekretariacie Stanu Jego Świątobliwości. Papież zamianował pro-sekretarzem stanu dla spraw nadzwyczajnych mons. Domenico Tardini, a pro-sekretarzem stanu dla spraw zwyczajnych mons. Giovanni Battista Montini.

Episkopat w hołdzie męczennikom. Na zakończenie swej dorocznej konferencji w Waszyngtonie biskupi amerykańscy wydali, oprócz ogólnego listu pasterskiego, również zbiorowe oświadczenie, w którym wzywają katolików amerykańskich do gorących modłów, by „Bóg raczył skrócić dni doświadczenia i przywrócić pokój i bezpieczeństwo Kościołowi i światu". W swym oświadczeniu biskupi mówią: „Nowoczesna lista chrześcijańskich bohaterów zawiera imiona dwóch kardynałów, stu trzydziestu biskupów, dziesiątki tysięcy kapłanów i zakonników i miliony wiernych katolików. Spis ich powiększa się z każdym upływającym dniem. Zniewagi, więzienie, tortury i śmierć: oto los tych, którzy wyznają wiarę w Chrystusa w krajach podbitych przez zastępy ateistycznego materializmu. Ojcu świętemu, płaczącemu nad losem swych dotkniętych dzieci, zasyłamy wyrazy synowskiego współczucia i wierności. Biskupom, kapłanom oraz współbraciom naszym Milczącego Kościoła przyrzekamy nieustanne modlitwy i wszelką, jaką jest w naszej mocy, pomoc... Wypiszemy ich czyny w sercach naszych jako dalszy ciąg męczeńskiej epopei św. Piotra i Pawła, pierwszych chrześcijan i milionów tych, którzy z godnością cierpieli za wiarę w Chrystusa. Niech Bóg sprawi, by chwalebna śmierć naszych męczenników była źródłem nowego życia i by ich przykład przyśpieszył powrót nowoczesnego świata do Chrystusa".

Powszechne oburzenie z powodu ataku. Opinia publiczna chrześcijańskiego świata zachodniego wyraża głębokie oburzenie z powodu haniebnych ataków, jakie reżym warszawski zainicjował przy pomocy radia i prasy przeciwko sędziwemu i dostojnemu biskupowi Stanisławowi Adamskiemu, ordynariuszowi diecezji śląskiej. Biskup Adamski skończył 77 lat życia w dniu 12 kwietnia br. Przez 22 lata był biskupem i zaskarbił sobie szczere uznanie i głęboką wdzięczność ludu śląskiego za swą pełną poświęcenia pracę na Górnym Śląsku. Biskup Adamski odznacza się niezwykle trzeźwym i praktycznym sądem w najbardziej nieraz zawiłych sprawach, jak również nieugiętością woli, gdy chodzi o dobro ludu i obronę praw Kościoła.

Świat zachodni zdaje sobie sprawę, że obecne oskarżanie biskupa Adamskiego przez komunistów o kolaborację z Niemcami jest tylko pretekstem do próby zlikwidowania niewygodnego dla ateistów komunistycznych członka Hierarchii kościelnej, który bez względu na swe bezpieczeństwo domaga się poszanowania praw Kościoła

Syn Dullesa jezuitą. Avery Dulles, syn nowomianowanego sekretarza stanu w gabinecie Eisenhowera, należy do jezuitów i obecnie wykłada filozofię na jezuickim uniwersytecie Fordham w Nowym Jorku. Młody Dulles przyjął wiarę katolicką przed 12 laty podczas swych studiów na uniwersytecie Harvard. Potem służył w wojsku, a następnie wstąpił do jezuitów.

O. I. M. BOCHEŃSKI, O. P.

SPOTKANIE Z KSIĘDZEM

W chwili gdy ksiądz wszedł do pokoju, rozmowa się urwała; ale ksiądz, niezrażony, przysiadł się do towarzystwa i po chwili wychylił z rozmachem kieliszek wódki; może być zresztą, że nie wypił tego kieliszka, tylko powiedział mniej lub więcej dwuznaczny dowcip. Lody zostały złamane. Okazało się, że ksiądz jest „swój chłop", że „można z nim żyć". Rozmowa potoczyła się odtąd gładko i bez oporów. Ale — tak mi się przynajmniej wydaje — paru spośród obecnych, choć i oni odczuli odprężenie, zachowało do księdza jakiś żal: że to on, mimo wszystko, nie powinien się był tak zachować. Najlepsze było przy tym, że jeden z tych, którzy myśleli w ten sposób, nie wierzył w nic.

Co to wszystko znaczy? Myślę, że każdy znajdzie łatwo proste wyjaśnienie zjawiska. Co do mnie, obawiam się, że będzie ono właśnie za proste. Im dłużej myślę nad sprawami społecznymi tym bardziej widzę, że prostota na nic się w nich nie zda. Im tłumaczenie prostsze, tym zwykle mniej prawdziwe.

Poniższe notatki są próbą pełniejszej odpowiedzi na powyższe pytanie: dlaczego spotkanie z księdzem kształtuje się nieraz właśnie tak a nie inaczej? Przeglądając je w chwili oddania do druku, widzę, że są i one niezmiernym uproszczeniem. Brak w nich jednego przede wszystkim: naprawdę egzystencjalnej analizy komunikacji z księdzem. Być może jednak, że mogą się komuś przydać jako przygotowanie do takiej analizy. A zresztą, chodzi mi o komunikację negatywną. O niej to mówić będę przede wszystkim.

I.

Ksiądz należy do specyficznej klasy społecznej w marksowskim słowa znaczeniu. Ma nie tylko specyficzne środki utrzymania, ale i rozmaite „nadbudowy" z nimi związane. Ma na przykład swoisty sposób obejścia się, nawet swoisty strój. Przeszedł wykształcenie odmienne od innych. Obraca się wiele w zamkniętym kole kleru. Myśli i reaguje uczuciowo inaczej, niż członkowie innych klas społecznych. W dodatku bywa, że większość księży pochodzi z jakiegoś określonego środowiska. Wtedy przy spotkaniu ze świeckim należącym do innej klasy występuje jak gdyby podwójna bariera klasowa: ta, która odgradza świeckiego od księdza jako takiego i ta, która dzieli obie klasy świeckich. Tak jest niemal zawsze, na przykład przy zetknięciu świeckiego inteligenta z księdzem w Polsce.

Ressentiment klasowe, na tym tle powstałe, ulega zaostrzeniu przez fakt posiadania przez księdza władzy. Władzy duchownej przede wszystkim: ksiądz, choć nie w swoim imieniu, jest tym, przed którym klękamy w pokorze. Ale z władzą duchowną łączy się, aż nazbyt często, realna władza doczesna. Ksiądz jest zazwyczaj wybitnym członkiem społeczeństwa, notabem. Posiada z reguły duży wpływ i wie o tym. Bywa, że używa tej swojej władzy w sposób raniący i bezwzględny. Nie zapomnę nigdy rządów, jakie w mojej młodości sprawował w parafii wiejskiej, gdzie moi rodzice mieszkali, świetny zresztą proboszcz. Grzmiał z ambony na wszystkie nieporządki duchowne i świeckie, jak Jowisz. Z procesją chodził sprowadzać na nabożeństwo leniwych gospodarzy. Wymyślał, każdemu i wszystkim, nieraz po nazwisku, publicznie. Trzymał parafię w garści i nikt, ani pan dziedzic, ani pan nauczyciel nie śmieli pisnąć słowa. Panie świeć nad jego duszą! Był powszechnie szanowany i, w rzeczy samej, był bożym, gorliwym kapłanem, który zrobił bardzo wiele dobrego. Ale cierpiał na przerost poczucia swojej władzy. Takie przykłady pozostają w pamięci. Zresztą sądzę, że każdy ksiądz będzie miał skłonności w tym kierunku i że mało kto spośród nich uniknie przesady i obrazy uczuć ludzkich.

To jest — tak mi się przynajmniej wydaje — pierwszy powód owego poczucia obcości księdza. Świeccy wyczuwają w nim przedstawiciela obcej klasy społecznej i to klasy w pewnym przynajmniej tego słowa znaczeniu rządzącej.

II.

Wspomniałem powyżej, że ksiądz posiada poprzez władzę duchowną także pewien wpływ świecki. Być może, że ressentiment w stosunku do niego łączy się nie tylko z tymi świeckimi konsekwencjami władzy duchownej, ale wprost z nią samą. Znajduję się tu na terenie, na którym nie czuję się pewny i to, co mam do powiedzenia, jest raczej domysłem niż poglądem. Wydaje mi się mianowicie, że mogą wchodzić w rachubę jakieś powiązania głębinowe, typowe dla stosunku dziecka do ojca. Gdyby tak było — a frazeologia religijna zdaje się wskazywać na tego rodzaju postawy — wolno by przypuszczać, że i najróżniejsze kompleksy wywołujące niechęć do ojca mogą odgrywać pewną rolę i tutaj. Wśród tych kompleksów na pierwszym miejscu postawiłbym mniej lub więcej świadome dążenie do zrzucenia zależności od ojca duchownego i wynikającą z niej niechęć do niego. W rzeczy samej, trudno wyobrazić sobie władzę sięgającą głębiej niż władza spowiednika i naturalnym wydaje się powstanie odpowiadającej jej reakcji.

III.

To jest jednak jeszcze stosunkowo powierzchowna sprawa. Na drugim miejscu po niej postawię sprawę naszej magicznej natury. My *jesteśmy* ciągle jeszcze pod wpływem magii. Nie dalej jak wczoraj zatrzymał się przede mną wspaniały Cadillac prowadzony przez wykwintnego pana. Stałem tuż koło wozu i mogłem stwierdzić, że w samochodzie były nie tylko dwa medale świętego Krzysztofa — to można by jeszcze darować — ale także dwie małpki i jedna laleczka, zawieszone w różnych miejscach jako maskoty. Niewielu współczesnych jest wolnych od wiary w jakieś liczby, w jakieś feralne dni i tak dalej. Jesteśmy podlegli, znacznie bardziej niż się do tego przyznajemy, magii.

Wydaje mi się, że właśnie ta magiczna postawa odgrywa kapitalną rolę w stosunkach z księdzem. Kapłan, to istota posiadająca magiczną władzę nad ciemnymi siłami. Oczywiście, nikt z nas, chrześcijan, głośno i świadomie tego tak nie ujmuje. Wiemy — teoretycznie — że żadnych magicznych sił nie ma i że kapłan nie posiadałby nad nimi, gdyby nawet istniały, żadnej władzy. Ale tak jest tylko w teorii. W praktyce, spotkanie z kapłanem wywołuje w głębi naszej istoty dreszcz. To jest szaman, czarodziej, sługa jakichś ciemnych, nieobliczalnych potęg. W ciągu wielu tysięcy lat ludzkość wierzyła świadomie i otwarcie w te rzeczy. Potężne atawizmy działają na nas ciągle jeszcze. Ksiądz to nie tylko obcy; to groźna postać władcy nad groźnymi siłami.

IV.

Sądzę, że do tych trzech przyczyn niechęci dołącza się jeszcze inna: ksiądz reprezentuje — i to bez względu na swoją osobistą wartość — bardzo wysokie ideały moralne. Nie wiem, w jakim stopniu ten ideał mówił cokolwiek ludziom z czasów Nerona, ale nie ulega wątpliwości, że nam, współczesnym, mówi bardzo wiele i to bez względu na nasze faktyczne postępowanie, ba! niezależnie od wyznawanej przez nas teorii etycznej. Nakazy moralne Kazania na górze tkwią głęboko w psychice Europejczyka, jako ideał niemożliwy do usunięcia z jego duszy. Świadomie będzie się on nieraz przeciw nim buntował, będzie tworzył coraz inne systemy, które mają zastąpić ideał ewangeliczny. Wszystko, jeśli się nie mylę, na próżno. Ideałów moralnych nie można zastąpić formułkami — wartości tego typu widzi się i wyczuwa, a kto raz je wyczuł, ten będzie ścigany przez nie we dnie i w nocy. Naturalnie, nie zawsze świadomie. Ale ścigany przez ideał będzie — i jesteśmy dziś wszyscy w tym położeniu.

Zarazem zdajemy sobie dobrze — aż nadto dobrze — sprawę z trudności tego ideału i z nieskończonego dystansu, jaki nas od niego dzieli. Otóż samo pojawienie się księdza jest jego przypomnieniem. Nic dziwnego, że reagujemy buntem. Myślę, że coś z tego buntu znajdzie się w duszy każdego człowieka, nawet najbardziej oddanego chrześcijańskiej moralności, najbardziej świadomie dążącego do jej realizacji. Stąd ta niezrozumiała inaczej radość u tak wielu na wiadomość o splugawieniu się księdza: ona uwalnia od ciężaru, jaki stanowi dla sumienia sylwetka księdza, który mógłby być nosicielem ideału także w czynie, jak nim jest w słowie. W każdym razie, fakt, że on jest zawodowym głosicielem tego ideału, stanowi — tak mi się przynajmniej wydaje — jeden z powodów owej niechęci.

Ta sama racja oddziaływać może w tym samym kierunku bodaj i w inny sposób jeszcze. Oto ksiądz, głosiciel tej wzniosłej moralności, sam urzeczywistnia ją w sposób nader niedoskonały. Odnoszę wrażenie, że sam fakt urzędowego reprezentowania *takiej* moralności przez człowieka grzesznego jest dla nas rażący. Będzie oczywiście tym bardziej rażący, im wyżej ideał moralny w naszym wyczuciu stoi i im dany ksiądz jest dalszy od doskonałego życia zgodnie z nim. Ale, jak już wspomniałem, człowieka, który by w ogóle nie miał żadnego zrozumienia tego ideału, w Europie znaleźć jest niezmiernie trudno — a zarazem nie ma zapewne wielu księży, którzy by go urzeczywistniali w pełni. Spotkanie z księżmi wzmacniało z reguły nasze przekonanie, że księża jedno mówią, a inne czynią, bo tak niestety w wielu wypadkach jest. Nic dziwnego, że mamy w rezultacie pogłębienie niechęci.

V.

Wreszcie zachodzą reakcje typu, jak to się dziś mówi, egzystencjalnego [1]). Religia nie jest, moim zdaniem, wprost sprawą egzystencjalną — przekracza tę dziedzinę — ale przecież zakłada ono przyznanie się do niej autentyzm w znaczeniu Heideggera. Wyjaśniam, co mam na myśli. Heidegger udowodnił, jak sądzę (powtarzając zresztą tylko to, co Ojcowie Kościoła i mistycy zawsze mówili), że człowiek czyni co może, aby nie myśleć o zasadniczych, egzystencjalnych sprawach, między innymi i przede wszystkim o śmierci. W tym celu właśnie wymyśla sobie coraz nowe zajęcia i rozrywki. W tym celu tworzy także etykietę, zgodnie z którą przypominanie egzystencjalnych spraw jest nietaktem potępienia godnym.

Otóż takim nietaktem jest samo pojawienie się księdza. Nie można, widząc go, nie przypomnieć sobie owego „prochem jesteś i w proch się obrócisz", ani olejem świętym namaszczenia, ani tylu innych rzeczy mówiących o śmierci, o cierpieniu, o naszej skończoności. Księdzu *jako takiemu* może patrzeć w oczy spokojnie — nie pogodnie, bo to chyba nie jest po ludzku możliwe, ale przynajmniej spokojnie — tylko ten, kto żyje autentycznie, kto nie chowa się sam przed sobą i przed swoją egzystencjalną sytuacją. A takich jest wśród nas niesłychanie mało — dokładniej mówiąc, niesłychanie mało jest chwil, w których mamy na taką postawę dość sił i odwagi.

VI.

Czy i w jakiej mierze można od kompleksu aksjologicznego i od kompleksu egzystencjalnego odróżnić sytuację numinalną [2]), w znaczeniu Ottona, trudno mi powiedzieć. Najprostszą postawą w tej dziedzinie byłoby przyjęcie, że wartości numinalne są właśnie *wartościami*, a więc działają w podobny sposób jak wartości moralne, a zarazem zahaczają o dziedzinę egzystencjalną; nie jest przypadkiem, że Bóg stoi w ośrodku wszystkich wielkich współczesnych systemów egzystencjalistycznych, z wyjątkiem jednej tylko filozofii Heideggera.

Być jednak może, że wolno potraktować dziedzinę numinalną oddzielnie, nie przecząc zresztą jej powiązań z tamtymi dwoma. Stając hipotetycznie na tym stanowisku widzę rzecz następująco: Bóg jest *tremendum mysterium*, a więc łączy cechy tajemniczości i straszliwości. Nasz stosunek do Niego nie jest nawet, ściśle mówiąc, trwogą, a przynajmniej nie jest trwogą tego samego typu, co trwoga przed śmiercią. Jest obawą — świętym dreszczem — wyższego rzędu. Wydaje się, że żadna analiza fenomenologiczna nie potrafiła, dotąd przynajmniej, powiedzieć, na czym ten dreszcz polega — a i z poezją nie jest zapewne lepiej. Może naiwne słowa pieśni; „Upadnij na kolana ludu czcią przejęty, Uwielbiaj twego Pana; Święty, Święty, Święty" oddają lepiej od wyszukanych rymów i subtelnych analiz rzecz, o którą chodzi — pod warunkiem, aby pamiętać, że słowo „cześć" nie oznacza tu wcale czci w zwykłym znaczeniu, ale właśnie ów dreszcz numinalny.

Jakkolwiek jednak z tym jest, nie trudno pojąć, że ksiądz, z numinalną dziedziną istotnie związany, budzić musi całą gamę najróżniejszych i nieraz sprzecznych wzajemnie uczuć. Uczucie trwogi — bliskie zapewne temu, o którym wspomniałem omawiając magię, ale przecież zupełnie inne. Uczucie niesłychanej wzniosłości, skalanej przez fakt samego człowieczeństwa kapłana i jego „ziemskości". Uczucie, że z księdzem wchodzi zew do czegoś straszliwego i burzącego pozornie jasny porządek naszych spraw. Stosunek do księdza — ta radość wywołana jego dwuznacznym dowcipem i ta pasja, z jaką się nim poniewiera — należy do tego samego „rejestru", co owo przedziwne zjawisko bluźnierstwa. Jest reakcją na wartości numinalne i w nie wymierzoną.

VII.

Tyle może powiedzieć nauka i filozofia. Ze stanowiska wiary chrześcijańskiej można dodać jeszcze jeden szczegół. Ksiądz jest narzędziem łaski. Z natury (właściwie powinno się powiedzieć „z nadnatury") rzeczy musi więc przez samo swoje istnienie — i to bez względu na swoją wartość osobistą — wywoływać reakcję ducha zła.

Niech wolno mi będzie otworzyć tutaj nawias. Wiara w ducha ciemności jest dogmatem u chrześcijan; nie można być chrześcijaninem, a tym bardziej katolikiem i nie brać jej na serio. Ale wypada też powiedzieć, że jeśli jaki dogmat wiary wydaje się, po ludzku mówiąc, prawdopodobny niezależnie od Objawienia, to na pewno ten. Jest dla mnie nierozwiązanym dotąd problemem, dlaczego tylu ludzi instynktownie broni się przeciw tej właśnie prawdzie naszej wiary: i to akurat dziś, w wieku, który nazwać wolno wiekiem rządów złego ducha.

Mniejsza jednak z tym. Dla nas duch zła istnieje i działa. W jakiej mierze? Oczywiście nie może wbrew woli człowieka oddziaływać na jego świadome decyzje. Nie wydaje się też prawdopodobne, by często działał wprost na świadomość (choć teoretyczne możliwości po temu posiada). Ale działanie na psychikę podświadomą zdaje się nie ulegać dyskusji. W tej działalności — poza i ponad akcją wszystkich wymienionych czynników przyrodzonych — widzieć trzeba jeden z powodów niechęci do księdza. Zwalczanie księdza jest pośrednim zwalczaniem Boga. Niechęć do niego jest próbą przeciwstawienia się Stwórcy.

Być może, że wolno by nawet całość czynników przyrodzonych działających w tym samym kierunku pojmować jako organizm, prowadzony właśnie przez tę właśnie siłę.

VIII.

Omawiałem wszystkie te czynniki pod kątem widzenia niechęci do księdza. Niemniej, każda z nich może, w przychylnych okolicznościach, działać w kierunku przeciwnym, skłaniając do pozytywnego ustosunkowania się względem niego. Stosunek klasy do klasy nie jest — wbrew marksistowskim uproszczeniom — wcale tak jednostronny, jak się wydaje; zawiera niemal zawsze także element pozytywny. Widzieć w stosunku dziecka do ojca tylko freudowskie albo adlerowskie kompleksy, znaczy przeczyć najbardziej oczywistym faktom. Szaman budzi nieraz nie tylko lęk, ale i ufność. Wartości nie tylko odpychają, ale — przede wszystkim — pociągają. Trwogę egzystencjalną umiemy — z trudem, co prawda, ale umiemy — przezwyciężać. Stosunek do rzeczy numinalnych nie jest także wyłącznie negatywny; jest nawet bardzo często wręcz przeciwnie. Wreszcie, szatan nie jest rządcą świata.

Bywa więc i tak, że człowiek czuje do księdza pociąg, na który składa się to wszystko. Bywa, że w swojej wielorakiej roli przywódcy, ojca, nosiciela ideału moralnego, proroka śmierci, przedstawiciela Numenu i narzędzia łaski, staje się on przedmiotem miłości. Właściwie „miłość" jest określeniem zbyt mało mówiącym i zanadto wieloznacznym. Gdy pozytywny stosunek do księdza się wytworzy u wierzącego, może on przybrać charakter w swoim rodzaju jedyny, nie dający się porównać z żadnym innym — tak jak nie ma niczego, co by mogło się równać miłości matki do dziecka, albo kochanka do ukochanej. Przytaczam umyślnie dwa przykłady tak różne, aby podkreślić, że chodzi o coś jeszcze całkiem innego.

IX.

Jedno jest jednak pewne: jakimkolwiek będzie ten stosunek, jest on w znacznej mierze niezależny od osobowości danego księdza. Jest to stosunek nie do człowieka, ale do charakteru, do funkcji kapłańskiej. Splot najróżniejszych potężnych sił sprawia, że ksiądz jest istotą bardziej od innych wyzutą, w swoim społecznym obrazie, z cech osobistych. Nie twierdzę oczywiście, by te cechy nie grały żadnej roli. Ale wydaje mi się, że odgrywają one rolę o tyle tylko, o ile stoją w jakimś związku z typem, z powołaniem. Tak, na przykład, ksiądz świątobliwy będzie bardziej niż święty świecki kochany jako ojciec, nosiciel wartości moralnych i przedstawiciel Numenu — i bardziej jako taki nienawidzony. A będzie nim dlatego właśnie, że jest księdzem. Stosunek do niego będzie różny od stosunku do innego człowieka, nie posiadającego charakteru kapłańskiego, a odznaczającego się tymi samymi zaletami.

I dlatego położenie społeczne księdza jest zawsze tragiczne. To twierdzenie może się wydać paradoksalne, gdy się pomyśli o tylu dobrotliwie uśmiechniętych kapłanach, którym życie zdaje się upływać w pogodzie i radości — albo o księżach upadłych, którzy z lekkim sumieniem pozbyli się maski kapłańskiej. Zapewne. Są niewątpliwie tacy, którzy zdołali utożsamić się ze swoją funkcją, do tego stopnia, że żyją w pogodzie. Są tacy, którzy potrafili uwolnić się od świadomości swojego powołania.

Mnie się jednak wydaje, że to są wyjątki. Księża święci i księża zwichnięci zupełnie nie stanowią większości. Masa żyć musi w wiecznym napięciu, między sobą, a swoją funkcją kapłańską. Ta funkcja stoi jak mur między księdzem i świeckim, nawet wtedy, gdy świecki oddaje mu swoją duszę do kierowania. Ksiądz jest, w olbrzymiej większości wypadków, wiecznie samotny.

X.

Nie jest moim zamiarem wyciąganie z tych rozważań wniosków moralnych. Naszkicowałem opis i próbę wytłumaczenia faktów, nie wartościując. Gdy mówiłem o wartościach, traktowałem je obiektywnie, nie *jako* wartości, moralnie. Ale idąc po tej samej linii wolno może wyciągnąć parę wniosków, które nie należąc wprost do etyki, zbliżają się do jej dziedziny.

Pierwszy taki wniosek dotyczy chronicznego upraszczania sytuacji przez obie strony — przez samych księży i przez świeckich. Skrajny wypadek mamy w bolszewizmie, który jest w ogóle zespołem barbarzyńskich uproszczeń w każdej dziedzinie: uważa on księdza wyłącznie za przedstawiciela klasy gospodarczej. Ale nie idąc tak daleko, widzi się nieraz postać księdza — tak teoretycznie, jak i emocjonalnie — na jednej tylko ze wspomnianych płaszczyzn. Na przykład, widzi się w nim wyłącznie przedstawiciela pewnej etyki, albo głosiciela wołań egzystencjalnych. Są to, oczywiście, grube nieporozumienia. Ksiądz jest postacią niezmiernie złożoną. Chcę dodać, że ja sam znam poza wymienionymi, kilka innych jeszcze elementów jego roli — a na pewno nie dojrzałem wszystkich.

Drugi wniosek dotyczy trudności powołania księdza. Nie łatwo sobie, w rzeczy samej, wyobrazić równie trudnego. Może — i z tym przechodzę do pewnej tezy już czysto moralnej — zarówno kapłani, jak i świeccy dobrze by uczynili, gdyby potrafili to zrozumieć i wyciągnąć z tego wnioski.

A wreszcie trzeci wniosek. W dwudziestym wieku rozlega się głośno wołanie świeckich, nieraz powtarzane przez samych księży: „księża, wyjdźcie z zakrystii". Świętej pamięci o. Jacek Woroniecki zwykł był dodawać: „tak, ale do kościoła". W świetle tego, co nam o księdzu mówi socjologia, psychologia głębinowa, aksjologia i teologia, niepodobna nie podpisać się pod tą kwalifikacją. „Ześwieczczenie" księdza jest marzeniem ściętej głowy — niewykonalnym przedsięwzięciem. Jego miejsce jest w kościele, w akcji duchownej, moralnej, egzystencjalnej, sakralnej. Zanadto potężne siły psychiczne i społeczne, nie mówiąc o nadprzyrodzonych — wiążą go z tą rolą, aby to „ześwieczczenie" mogło się naprawdę udać.

I. M. Bocheński O. P.

---

[1]) *Korzystam ze sposobności, aby raz jeszcze założyć protest przeciw barbarzyńskiemu wyrażeniu „egzystencjalny" i pokrewnym. Mówi się, co prawda, „racjonalny", ale też drugi przypadek od „ratio" brzmi „rationis"; natomiast „exsistentia" w drugim przypadku to nie „exsistentionis", ale — dla informacji pp. pisarzy — „exsistentiae". Toteż Anglicy piszą „existential", Francuzi „existentiel", Niemcy „existentiell (-al)", Włosi „esistenziale". Po polsku należy pisać „egzystencjalny", „egzystencjalizm" i t.d. Jest jeszcze czas, aby zawrócić z błędnej drogi i uchronić następne pokolenia od balastu wyrażenia, które by świadczyło w ciągu wieków o tym, jak bardzo byliśmy w latach 1945-55 ubodzy w kulturę klasyczną.*

[2]) *Od łacińskiego „numen, numinis", które znaczy „bóstwo". Wyraz ten znajdujemy u R. Ottona w jego sławnej książce „Das Heilige" (1917) i odtąd używa się go na oznaczenie specyficznie religijnych wartości. Piszę „numinalny", nie „numenalny", bo groziłoby pomieszanie z „numenem" w kantowskim słowa znaczeniu. Sporną jest dotąd sprawa stosunku wartości numinalnych do wartości moralnych. Św. Tomasz uważa religię za sprawność moralną. Skądinąd jednak wiadomo, że słowo „religia", a tym bardziej wyrażenie „numinalny" posiada obecnie znacznie szerszy zakres, niż „religio" u św. Tomasza: obejmuje mianowicie wiele wartości, które autor Sumy zaliczyłby do dziedziny miłości i wiary. Sam Otto kładł wielki nacisk na różnicę między obu dziedzinami i podkreślał pewne pokrewieństwo istniejące miedzy wartościami numinalnymi a estetycznymi — co nie znaczy zresztą, by przeczył różnicy i w tym względzie. Przyjmowanie założeń różnych od tomistycznych jest na ogół, przynajmniej w dziedzinie aksjologii, niebezpieczne; ale też ja tego tu nie czynię. Zagadnienie tutaj poruszone jest bardzo trudne i zasługiwałoby na lepsze analizy, niż te, które dotąd posiadamy. Niestety, gdy mowa o religii, czyta się wiele wzniosłych apelów, a niezmiernie mało przyzwoitych analiz. Tak, w szczególności, u egzystencjalistów.*

Portyk Muzeum Miejskiego w Madrycie

WYSTAWA BIBLII

Wystawa Biblii w polskim zakładzie naukowym. Zakład naukowy polski w Orchard Lake, Michigan, na który składają się seminarium świętych Cyryla i Metodego, czteroletnie kolegium im. Najśw. Marii Panny i czteroletni High School, urządził we wrześniu i październiku wystawę Biblii. Na wystawie były umieszczone wydania w językach hebrajskim, greckim, łacińskim, polskim, angielskim, francuskim, niemieckim i włoskim. Najstarsze wydanie polskie było z r. 1570, drukowane w Krakowie: jest to zarazem najstarsza księga w języku polskim w Stanach Zjednoczonych. Najstarsze z wystawionych polskich wydań Nowego Testamentu pochodzi z Moskwy z r. 1819. Na wystawie był także przedruk ze sławnej Biblii królowej Zofii i jedna księga według tłumaczenia ks. Skargi. Wielkiej wartości były 4 rękopisy z lat 1210, 1240 i 1310.

STEFAN BADENI

KIWEROWA GÓRKA I ROZWIANE ZŁUDZENIA

Warunki pokojowe Iwana Groźnego*) przyniesione przez o. Antonia Possevina w październiku r. 1581 Batoremu do obozu pod Pskowem, nie różniły się od tych, które car ofiarował już dawniej. Nie tylko odmawiał odszkodowania wojennego i zburzenia twierdz, ale i chciał zachować sobie pokaźną część Inflant. Possevino w licznych rozmowach prowadzonych z królem jeszcze w Wilnie i w Połocku przed udaniem się do Starycy na dwór cara, przekonał się, że Stefan nie zgodzi się na podział Inflant. Kraj ten ongi dobrowolnie połączył się z Rzecząpospolitą i król zaprzysiągł odzyskać go w całości; żywotny interes Polski i Litwy wymagał odepchnięcia Moskwy daleko od wybrzeża bałtyckiego.

Batory wysłuchawszy sprawozdania jezuity oświadczył, że wobec nieustępliwości cara i on utrzymuje swoje ultimatum w pełni, nie zamierza też wysłać do Iwana poselstwa, zgadza się natomiast, by pełnomocnicy obu stron spotkali się w jednym z miejsc pogranicznych. Wiadomość tę, dla rozwoju możliwości pokojowych nader pomyślną, pospieszył Possevino przesłać carowi i wnet goniec z listem jego wyruszył w drogę. W liście tym poseł papieski nie szczędził słów i uwag mogących wywrzeć wrażenie na Iwanie; w czarnych barwach przedstawił stan oblężonego Pskowa, a podkreślił silnie niezmienną energię, z jaką król przygotowuje dalszą kampanię. Było to zgodne z prawdą; mniej wierne były twierdzenia o zapale wojsk królewskich, o nadciągających posiłkach, o amunicji przybywającej obficie z Rygi. List kończył się zapowiedzią, że król polski na wiosnę zaniesie pochodnię wojny w samo serce ziem cara. Po tym argumencie spodziewał się o. Antonio najlepszego skutku, bo niedawno właśnie doznał Iwan ofensywnego ducha i śmiałości Polaków i Litwinów, gdy Krzysztof Radziwiłł i Filon Kmita na czele 7.000 jeźdźców wdarli się głęboko i zbliżyli nawet znacznie do Starycy wypłaszając cara z tej twierdzy.

Odpowiedzi na list nie można się było spodziewać przed upływem pięciu tygodni. Oblężenie trwało, ale Batory postanowił nie przedsiębrać gwałtownych szturmów. Szturmy apostolskie przypuszczał Possevino w walce o dusze; wszak wielu jeszcze innowierców było w szeregach królewskich. Dla starszyzny wygłaszał kazania po łacinie, chętnie słuchał ich Stefan; monarcha był na słowo Boże wrażliwy aż do łez. Sporo czasu poświęcał Antonio korespondencji; układał sprawozdania dla Stolicy Apostolskiej, wysyłał listy do nuncjusza w Polsce omawiając spodziewane nominacje biskupów. Stykając się z królem i z w. hetmanem Zamoyskim, pracował nieustannie na rzecz pokoju i wysuwał momenty religijne: po obu stronach giną żołnierze, ile dusz źle przygotowanych staje przed tronem Bożym! Przestrzegał przed zmiennością losów wojny, a wskazując na porażkę poniesioną przy próbie zdobycia warownego klasztoru pieczerskiego, zapytywał, czy nie był w tym palec Pana, nie chcącego, by król, uwiedziony powodzeniem, mógł rzec: „manus mea excelsa, non Deus haec omnia fecit." W gorliwości swej dla sprawy pokoju przedstawiał jezuita Iwana jako człowieka dobrej woli, szczerego, pragnącego sąsiedzkiego porozumienia z Rzecząpospolitą. Pochwały te wzbudziły podejrzliwość w Batorym, a w Zamoyskim niechęć trwalszą i nawet nieprzyjaźń dla chwalcy; kanclerz i hetman będzie się w listach ostro wyrażał o pośle papieskim, skłonnym łatwo poświęcić dobro Rzeczypospolitej, z przekąsem nazwie go dobrym pasterzem Moskali. Wówczas to, pod Pskowem, powstało mniemanie o tym synu Loyoli, które zaciąży na jego pamięci jako przedstawiciela polityki pozbawionej skrupułów, a Polaków krzywdzącej.

Tymczasem położenie wojsk oblęgających pogarszało się z biegiem jesieni nieustannie; dotkliwe zimna trapiły żołnierza źle odzianego i głodnego, bo trudno było o wyżywienie, żołd zalegał coraz bardziej. Wzrastała tęsknota za pokojem i zdarzały się nawet wypadki niesubordynacji mimo żelaznych rządów Zamoyskiego. Zwłaszcza Litwini sarkali na przeciąganie się wojny i — jak powiedziano — tyle tylko dobrego humoru im pozostało, ile potrzeba było dla wydrwiwania Polaków i dla żartowania, pomiędzy sobą, także z Zamoyskiego, przybierającego pozy dawnych Rzymian i przemawiającego zwrotami z Tytusa Liwiusza. Ale Zamoyski odczuwał cierpienia żołnierza i w listach do Kraju z goryczą piętnował sobkostwo narodu, który ani kawałeczka ciepłego sukna, ani jednego złotego polskiego nie posłał walczącym braciom.

Toteż radość zapanowała w obozie, i wśród dowódców, i wśród gminu, gdy w połowie listopada powrócił oczekiwany goniec i oznajmił, że komisarze pokojowi cara już są w drodze do jednej z miejscowości pogranicznych. Król wyznaczył szybko pełnomocników Rzeczypospolitej; nie był trudny wybór Janusza Zbaraskiego, dzielnego mieczem i umysłem wojewody bracławskiego, ale wśród Litwinów było wielu kalwinów, a Possevino prosił usilnie, by nie pokazywano wrogom gorszącego rozdwojenia wyznaniowego. Batory wyznaczył więc Aforechta Radziwiłła, marszałka nadwornego litewskiego i jeszcze Krzysztofa Warszewickiego, brata Stanisława, jezuity; przydał im jako sekretarza Michała Haraburdę, prawosławnego, człowieka zręcznego i obywatelskiego, znającego dobrze Moskwę. O. Antonio był przedstawicielem papieża, uproszonym przez obie strony arbitrem, ale król przed wyjazdem delegacji zwrócił się do niego wzywając go z naciskiem, który wydał się jezuicie niesłuszny, aby pamiętał, że Polacy zawsze byli wierni Rzymowi, a Moskale niczym zaiste nie zasłużyli na wzgląd Stolicy Apostolskiej. I powtórzył, że Inflanty muszą być zwrócone w całości, nie mogą mieć dwóch panów. „Dwa miecze — rzekł Batory — nie mogą spoczywać w jednej pochwie".

Miejscem rokowań miał być Jam Zapolski na szlaku nowogrodzkim; wojna przeszła przez tamte strony, ale już niewiele śmętku mogła dodać krajowi opuszczonemu, żyjącemu zaledwie rzadkimi skupieniami nędznych chałup. Pełnomocnicy polscy umieścili się w Jamie, moskiewscy opodal, w Kiwerowej Górce. Chcąc sobie zdobyć zaufanie Moskali zamieszkał tam także Possevino, w chałupie o jednej kurnej izbie; w kącie stał jego składany podróżny ołtarz. W tej izbie prowadzono obrady, którym on przewodniczył; Polakom jako zwycięzcom dał przy stole stronę prawą i pierwszeństwo w przemawianiu. Pierwsze posiedzenie odbyło się 13 grudnia. Obie strony postawiły ku przerażeniu pośrednika żądania tak wygórowane, iż przepaść dzieląca je zdawała się nie do pokonania. Moskale zapewniali, że Inflanty od stworzenia świata należały do cara.

Powoli i opornie postępowały układy. Wśród sprzeczek podnoszono głos, grożono sobie odjazdem. Dowodzenia Moskali, przewlekłe, drobiazgowe, a wykrętne utrudniały zgodę nawet w sprawach małego znaczenia. Chcąc uratować choć część Inflant dla cara, tłumaczyli, że kraj ten jest mu potrzebny dla łatwiejszego porozumiewania się z papieżem. Lęk ich przed moskiewskim despotą był widoczny w każdym zdaniu. Jeden z nich wyznał w przystępie szczerości, iż gdyby każdy miał nawet dziesięć głów, wszystkie by spadły w wypadku nieposłuszeństwa.

Warunki pobytu rokujących były wielce uciążliwe; święta Bożego Narodzenia spędzono markotnie, Polakom brakło nieraz pożywienia; Moskale mieli go w bród, a z nimi miał go w bród i Pessevino, którego na rozkaz Iwana zaopatrywali we wszystko. Mimo to ze smutkiem musieli donieść swemu panu, że poseł papieski popiera całkowicie tamtą stronę. Istotnie, już jako katolik pragnął Possevini gorąco przyłączenia Inflant do Rzeczypospolitej i cieszył się na spełnienie zapowiedzi Batorego, że powstaną tam kolegia jezuickie.

Król udał się do Polski, aby tam, z trudem zwalczając opory, uzyskiwać środki do dalszego prowadzenia wojny, ale Zamoyski pozostał i przesyłał często instrukcje delegatom, nieraz wprawiając ich w zakłopotanie, gdy były sprzeczne, zależnie od powodzeń lub niepowodzeń pod murami Pskowa. W styczniu zażądał koniecznego doprowadzenia układów do pomyślnego końca. Obawiał się, że nie zdoła już dłużej utrzymać wojska w zimowej udręce. Choroby przerzedzały szeregi, nieliczni byli żołnierze nie cierpiący na odmrożenia. Niedostatek amunicji stawał się tym groźniejszy, że twardość bojowa obrońców miasta, siła ich odporu wzrastały. Wymownie oddawał im sprawiedliwość Batory, gdy mówił „Z zimną krwią zajmują miejsca tych, którzy padli i wypełniają wyłomy w murach własną piersią, biją się dzień i noc, głodując, a poddać się nie chcą, aby się nie sprzeniewierzyć swemu carowi".

Widoki pokoju chwiały się jeszcze. Moskale wysuwali nowe trudności. Raz jezuita stracił cierpliwość lub udał może, że ją stracił i rzucił się na najbardziej wykrętnego z nich, chwycił go za futro kołnierza, potrząsając silnie Moskalem urwał mu kilka guzików, wreszcie wystraszonego wypchnął z krzykiem za drzwi, a pozostałym oświadczył, że powraca do Rzymu.

Komisarze moskiewscy mieli rozległe pełnomocnictwa i wiedzieli, że car, przelękniony także postępami Szwedów w Estonii, chce pokoju nawet za wysoką cenę, z ciężkim więc sercem zrzekli się Inflant żądając tylko — bezskutecznie — aby w dokumencie pokojowym stwierdzono, że car pozostaje i nadal prawnym właścicielem odstąpionej prowincji.

Ostatnią zwłokę spowodował spór o tytuły samodzierżcy; jeden, wedle zapewnień moskiewskich, jeszcze cesarze Arkadiusz i Honoriusz nadali Włodzimierzowi — choć okres pięciuset lat dzielił dziejowe postaci.

Wreszcie stanęła zgoda i 15 stycznia podpisano rozejm dziesięcioletni, na mocy którego Rzeczpospolita otrzymywała całe Inflanty, zachowując zdobyte twierdze Połock, Wjtebsk i Wieliż. Moskale zaprzysięgli całując krzyż przysłany przez władykę nowgorodzkiego. Polacy na ich prośbę przysięgli podobnie, ale ucałowali — wraz z Haraburdą — własny krucyfiks.

Pod Pskowem hymn Te Deum, gromko śpiewany przez wojska, wzbił się ku zimowemu niebu. Zamoyski napisał do Possevina, że po Bogu jemu się należy podzięka. Ale w liście do króla, sławiąc Zbaraskiego i jego towarzyszy, nie miał dobrego słowa dla zasługi pośrednika.

Naród przyjął wieść z ulgą. Z chwilą gdy nie chciał podjąć wysiłku koniecznego dla powalenia groźnego sąsiada, osiągnęte warunki rozejmu były tryumfem. Nie takiego, co prawda, pragnął Batory, kiedy wojnę rozpoczynał. Toteż i obecnie, w pełni oceniając trwałe niebezpieczeństwo moskiewskie, nie wyrzekł się wcale zamiaru rozprawienia się z nim.

Pierwsza część zadania Possevina była ukończona pomyślnie. Teraz, na saniach w drodze do Moskwy, przemyśliwał niezmordowany jezuita o swym dalszym, o ileż trudniejszym posłannictwie.

ROZWIANE ZŁUDZENIA

Miał poczucie obowiązku spełnionego dobrze nie tylko wobec Kościoła, ale i wobec Rzeczypospolitej. I miał drogę wolną do dalszego działania. Car Iwan Groźny w dotychczasowych rozmowach z nim odkładał omówienie sprawy krucjaty przeciw Turkom i zagadnienia unii Kościołów do czasu po ukończeniu wojny. Pojednania w rzeczach wiary nie obiecał nigdy, zamiar walki z Turkami wypowiedział w liście do papieża, wskazując na Batorego jako na tego, który swą napaścią na jego kraje rozpoczęcie tej walki opaźnia.

Po trzech tygodniach jazdy przez niezmierzone, podlelone obfitym śniegiem płaszczyzny, ujrzał podróżny drewniane kopuły wielu cerkwi. Moskwa była ogromną wsią, domki i dworki z podwórzami i niewielkimi warzywnymi ogrodami okalały górujące nad nimi małe miasto, mocne i kamienne: Kreml.

Possevino był zaskoczony dziwnym nastrojem w stolicy. Był to nastrój smutku i lęku. Szeptem podano mu przyczynę. Oto Iwan tyle swych zbrodni i okrucieństw, do których już przyzwyczaił poddanych, zdołał pomnożyć o zbrodnię, która jeszcze przeraziła. Ujrzał swą brzemienną synową, odpoczywającą w ogrodzie w stroju, który nie zgadzał się z przepisanym przez niego. Wymierzył jej policzek, a potem kilkakrotnie uderzył ją swą ciężką, okutą żelazem laską. Następstwem ukarania był przedwczesny poród i urodzenie nieżywego dziecka. Syn cara, Iwan Iwanowicz nie był małżonkiem ani wiernym, ani czułym, ale bestialstwo ojca nim wstrząsnęło i uczynił mu wyrzut. Car zdumiony, do sprzeciwu nieprzyzwyczajony, ugodził syna tak silnie laską w głowę, że ten po kilku dniach zmarł. Podczas choroby całował ojca po rękach zapewniając go o swej uległości i prosząc, by się nie martwił.

U stygnących zwłok porwał okrutnika szał skruchy czy rozpaczy. Wyjąc jak dzikie zwierzę tarzał się po ziemi, darł szaty i włosy. Jak już nieraz w dramatycznych chwilach swego panowania, uciekł przed własnym sumieniem do klasztoru; tam żył życiem mnicha i mnichów przynaglał do surowszych umartwień. Nocą jeszcze, sam ciągnąc za dzwon, zwoływał ich do modlitwy, potem łączył swój głos z ich głosami w śpiewach jednostajnych i przeciągłych; w niezliczonych pokłonach przed ikonami krwawił czoło o kamienne posadzki. Ale te godziny pokuty przerywał dla odwiedzania więzień, gdzie, jako doświadczony oprawca, własnoręcznie katując sądzonych, wydobywał zeznania.

Kiedy Possevino przybył do Moskwy, car już powrócił na Kreml. O. Possevino pośpieszył spotkać o. Drenockiego, jezuitę, którego Iwan zatrzymał przez czas nieobecności Possevina. Ten cieszył się na myśl, że jego towarzysz w ciągu pięciu miesięcy przebywania w ośrodku ruskiego życia zdziałał niejedno dla krzewienia wiary i że rozsiał wiele plennych ziarn. Teraz się dowiedział, iż się łudził. Przez cały czas Drenocki był nieomal więźniem, strzeżonym tak ściśle, że nie mógł z nikim rozmawiać; nawet przydani mu strażnicy nie śmieli zamieniać z nim słów ponad konieczność.

Już w trzy dni po przyjeździe Possevina przyjął go władca dość łaskawie, dał mu rękę do pocałowania i zatrzymał na obiedzie. W dwa dni później mógł jezuita w dłuższej rozmowie przedstawić sprawy wagi rozmaitej. Pierwsza, powierzona mu przez Zamoyskiego, dotyczyła zwolnienia jeńców polskich. Ale Iwan zwolnił jedynie i przez uprzejmość dla posła papieskiego, kilkudziesięciu Włochów i Hiszpanów, którzy uciekłszy spod niewoli tureckiej na terytorium cara zamienili jedną niewolę na drugą, wcale nie lżejszą. Następnie poseł dotknął sprawy krucjaty. Iwan stwierdził, iż on rzucił jej myśl i zbliżył do urzeczywistnienia, obecnie jest rzeczą papieża i innych panujących zająć się nią; władcy wszystkich państw — car wymienił nie tylko Niemcy, Hiszpanię, Francję i Wenecję, ale i Anglię, Danię i Szwecję — powinni porozumieć się pomiędzy sobą, a potem wysłać do niego wspólną ambasadę, po czym on poweźmie rozstrzygnięcia. To oświadczenie, w którym w dodatku samodzierżca przysądzał sobie rolę arbitra Europy, zabrzmiało w uszach jezuity jak szyderstwo i przekonało go do reszty, jak trafnie Polacy i Litwini nazywali Iwana kłamcą i oszustem. W sprawie unii Kościołów orzekł car, że przekroczywszy pięćdziesiąty rok życia, nie porzuci wiary swej młodości. Ale pozwala, by poddani papieża oraz kupcy weneccy w drodze do Persji podróżowali przez jego kraje w towarzystwie swych księży; ci musieliby się wówczas wstrzymać od wszelkiej czynności religijnej, która by nie była ściśle prywatna. Usilnej prośbie posła, aby choć jeden kościół katolicki mógł stanąć gdziekolwiek na ziemi moskiewskiej, władca odmówił. Jeszcze poprosił jezuita, aby powracając do Rzymu mógł zabrać ze sobą kilku chłopców dla kształcenia ich w „dawnej wierze greckiej". Iwan obiecał, że sam będzie szukał takich chłopców, a jeśli mu się uda znaleźć odpowiednich, nie omieszka wysłać ich do Rzymu.

Tak więc runął w parę godzin gmach nadziei o. Antonia i rozwiały się nadzieje — słuszniej mówiąc złudzenia — Watykanu na czas długi.

Lecz Possevino nie chciał opuścić Moskwy bez walki! Tu, w środku obozu nieprzyjacielskiego, chciał wydać bitwę błędom wiary; nie mogąc uczynić nic więcej, chciał dać przynajmniej donośne świadectwo Prawdzie, bez względu na grożące mu następstwa. Poprosił cara, by mu było wolno w publicznej dyspucie wyłożyć różnice dogmatyczne dzielące oba Kościoły. Dysputy takie były zwyczajem czasu, w którym, począwszy od Lutra, bujnie pleniły się sekty. Iwan, o umyśle żywym i bystrym, lubił zawsze zagadnienia teologiczne; oczytany i wcale wykształcony nabył i w częstych gawędach z uczonymi mnichami wiele wiadomości, ćwicząc się przy tym w dialektyce i sofistyce. Wspominał zresztą z przyjemnością, iż przed laty zwyciężył teologa i mnicha braci czeskich, Rokitę. Wprawdzie przyparł go do muru bardziej obelgami aniżeli dowodami, ale, nazywając go poprzednikiem Antychrysta, zakazał mu pod karą śmierci głoszenia nauk heretyckich. Poseł cara Szewrygin podczas pobytu w Rzymie skrzętnie patrząc i słuchając przywiózł swemu panu wiele szczegółów, które Iwan zamierzył wykorzystać w polemice. Uśmiechało mu się zabłysnąć znowu wiedzą przed swym dworem i oświadczył jezuicie, że sam będzie jego przeciwnikiem. Przygotował się potem starannie w naradzie z władykami. Przebywający w Moskwie kupcy angielscy, obawiając się w swej nienawiści katolicyzmu udałej propagandy „papistycznej", złożyli carowi memoriał przeciw Rzymowi - Babilonowi i przeciw papieżowi - Antychrystowi. Possevino wraz wniósł przeciwmemoriał, w którym wyjaśnił odstępstwo Henryka VIII. Ścierał się ongi często w publicznych dysputach i nie obawiał się braku argumentów; miewał przeciwników niebezpieczniejszych, choć żaden z nich nie miał możności wtrącenia do więzienia i zamęczenia.

W dzień oznaczony dwór i bojarzy spoglądali w skupieniu na jaskrawy majestat na tronie i na czarną postać na krześle. Iwan zagaił zastrzegając się, że nie myśli sprzeniewierzyć się wyznaniu swoich przodków. Potem jezuita w długim wykładzie ściśle i przejrzyście omówił powstanie schizmy i jej błędy. Ponieważ przy tym często wspominał o wierze greckiej, car w odpowiedzi podkreślił, że nie zna wiary greckiej, zna tylko wiarę, której uczył Syn Boży i on, car, jest wyznawcą tej wiary, Chrystusowej. Possevino replikował i spór toczył się spokojnie. Ale carowi na gruncie rzeczowości zaczęło być niewygodnie i jął oskarżać osoby papieży. W pierwszych wiekach byli to mężowie sprawiedliwi—Iwan przytaczał wiele nazwisk — kościół prawosławny czci ich, ale ich następcy zeszli z drogi cnoty. Jezuita bronił, że z papiestwem jest jak z caratem: bywają papieże niegodni i zdarzają się niedobrzy carowie, lecz sama rzecz, instytucja jest dobra tu i tam. — Padły z tronu gniewne słowa: „Wiedz, że Twój papież nie jest pasterzem, lecz wilkiem!" — „I do wilka zwróciłeś się o pośrednictwo?!" — zawołał zakonnik. — „Czemu prosiłeś wilka o pośrednictwo?" — Słowa te przypomniały wszystkim, że Iwan w ciężkiej chwili upokorzył się przed Rzymem. Ze złością powstał z tronu, wzniósł laskę, sprawczynię tylu już mordów i potrząsnął nią. Ale pohamował się i zapytał tylko surowo: „Czy ciebie chłopi na placach publicznych uczyli wymowy, że przemawiasz do mnie tak właśnie jak do chłopa?" Possevino zaręczył, że daleki był od chęci uchybienia carowi, ale w swobodnej rozprawie musi użyć argumentów, które się nasuwają. Następnie car postawił papieżom trzy zarzuty. „Apostołowie — mówił — chadzali piechotą, a ten, co się mieni ich następcą, każe się obnosić wysoko ponad wszystkimi, dając dowód gorszącej pychy. Jeszcze większym zgorszeniem jest, że papieże krzyż, znak męki Pańskiej, umieścili na swym „pucie". Sprzeciwia się to dekretom pierwszych siedmiu soborów. Possevino wyjaśnił, że papieże chętnie chodzą piechotą, odbywają piesze pielgrzymki, a jeśli są noszeni na sedia gestatoria, dzieje się to, aby tłumy wiernych, pragnące tego, widziały namiestnika Chrystusowego i aby on mógł wszystkim błogosławić. W czasie apostołów, na których car się wciąż powołuje, istniał zwyczaj całowania nóg dla okazania miłości i pokory; wierni zachowali go wobec następcy pierwszego Apostoła, a Ojciec św. daje dowód nie pychy, lecz także pokory: nie chce przyjmować tej czci dla siebie, więc wierni całują krzyż na trzewikach jego. Najtrudniej było rozprawić się z trzecim zarzutem: golenia brody przez papieży. Jest to — twierdził car — wręcz zniewagą Boga Ojca. — Wyjaśnienie, że broda nie ma żadnego znaczenia, byłoby zbyt głęboko oburzyło wszystkich, przeciwstawił więc jezuita, że właśnie obecny papież, Grzegorz XIII, nosi piękną, długą brodę.

Dyskusja była wyczerpana i Antonio poprosił o pozwolenie ucałowania ręki despoty; zezwolił — i w odruchu serdeczności uścisnął przeciwnika dodając kilka słów tłumaczenia, że się poprzednio uniósł gniewem. Wnet potem przyniesiono do mieszkania jezuity potrawy i napoje wprost ze stołu carskiego.

Mimo to objegały pogłoski, że jezuici poniosą śmierć i gdy ich zawezwano znowu przed cara, przygotowali się na męczeństwo i zaopatrzyli w relikwie. Iwan oświadczył przyjaźnie, że pragnie utrzymać z papieżem dobre stosunki, niech się więc Grzegorz nie dowie, że został nazwany wilkiem.

Nadszedł Wielki Tydzień, który Iwan spędzał w skupieniu modląc się i susząc. Po świętach powołał Possevina przed swe oblicze. „Słyszeliśmy — rzekł — od naszych bojarów, że bardzo pragniesz odwiedzać nasze świątynie, rozkazaliśmy więc, aby nie czyniono ci przeszkód. Idź, Antonio, obacz, jaką czcią otaczamy Przenajświętszą Trójcę, Matkę Bożą i obrazy świętych." W rzeczywistości Possevino trzymał się jak najdalej od cerkwi nie chcąc, aby bytność jego w nich była błędnie tłumaczona. Oświadczył więc carowi, że wie dobrze o czci składanej tam, ale jemu nie wolno łączyć się w nabożeństwach, póki będą trwały różnice dogmatyczne. Dlatego nie wejdzie do cerkwi. Kiedy opuszczał pałac, bojarzy otoczyli go, chcąc zaprowadzić, ale udało mu się wymknąć. Iwan był już w drodze do świątyni i bojarzy powiedzieli mu o krnąbrnym zachowaniu się zakonnika, gotowi użyć siły. Po namyśle despota rozkazał zostawić go w spokoju.

Odbyło się jeszcze posłuchanie pożegnalne i poseł papieski, udarowany, opuścił kraje cara.

Trzyletnia gra dziejowa była zakończona. Przebrzmiał głos dział pod Połockiem, Wielkimi Łukami i Pskowem i przebrzmiały wyznawcze słowa, wyrzeczone przed najgroźniejszym z tronów. Z naczelnych aktorów odejdzie pierwszy Iwan, umierając już w r. 1584 śmiercią nie budującą, w dwa lata po nim zgaśnie niespodzianie Batory, nie dokonawszy zadania, które uważał za najważniejsze: powalenia Moskwy. Possevino przeżyje ich o ćwierć wieku; ambitny zawsze dla wiary i dla swego zakonu syn Loyoli, będzie działał jako dyplomata, potem tylko w zakresie naukowym, pozostawiwszy daleko za sobą dni moskiewskie, które były szczytową chwilą jego losów i najgłębszym zawodem jego życia

Stefan Badeni

*) **Por. artykuły: „Ojciec Possevino" w nrze 29 (265), „Inicjatywa Iwana Groźnego" w nrze 34 (270), „Dwa poselstwa" w nrze 39 (275), „Possevino i Batory" w nrze 43 (279) i „Possevino u Iwana Groźnego" w nrze 45 (281) ŻYCIA.**

BRONISŁAW PRZYŁUSKI

ZIMA

Czy to zima nadwiślańska sprzed lat
tak się we krwi roztopiła — przesiąkła,
czy to dom, matka, siostra, młodszy brat,
czy oddechy na zmarzniętych pałąkach?

Czy to może kolęda na organach,
albo żarna, albo młocka w sześciórkę,
albo jakaś tajemna nienazwana,
słodycz z nieba nad moim podwórkiem?

Może to wiatr rozpętany nade mną,
może ziemia, ginący ptak,
nikłą gwiazdą lecąca w ciemność,
jak konopny, guślany kłak?

Mróz — pamiętam, gruda, okiść i szron,
i przez sień buchająca z dworu para;
wiadro wody i czarnego chleba glon,
dla kudłatych źrebaków w koszarach.

Koniom siano za drabinę i w ściółkę,
makuch krowom w zaduchu do żłobów.
Skacze zegar z dziuplą na kukułkę,
a na zegar nie ma jeszcze sposobu.

Polami próbuję — słabnę.
Ratuję się pacierzem.
Miedze — nici jedwabne.
Skiby — lniane paździerze.

Lasami próbuję — drągowiną.
Tak bym śniegiem do gałęzi przywarł,
bo w ponowie ślady moje zaginą.
Mamo zróbcie z igliwia dla mnie wywar.

Niech się napiję zieleni.
Niech się nałykam goryczy.
Może mi się odmieni.
Może mi się zaliczy.

Bronisław Przyłuski

MIECZYSŁAW JAŁOWIECKI

GAWĘDA WIGILIJNA

Było to dzień przed wigilią roku 1892. Byłem wówczas w szóstej klasie, miałem więc lat szesnaście.

Polowaliśmy owego dnia w lasach Jasańskich w pobliżu Ucian. Gdyśmy po polowaniu i objeździe przeszli do sali bawialnej i usiedli w półmroku przy kominku, na którym potrzaskiwały wesoło smolne szczapy a stary Tomasz, służący mego stryja, wniósł tacę z pachnącą kawą i butelkami, myśliwi zapalili lulki i cygara i pogrążyli się w błogim milczeniu.

Ciszę przerwał tubalny głos pana Kurmina ze Skuduciszek.

— Powietrze wyostrzyło, śnieg jakby scukrowawszy się, na jutro zamieć pewna. Dziś to był dzień na knieje, a jutro tak niewiadomo, co będzie.

— Choćby na jutro był dzień najpiękniejszy i porosza, ale jutro wigilia Bożego Narodzenia, a my tu w naszych stronach wiłkomierskich w wigilię nie poluim — rzekł poważnie stary pan Bronisz.

— A dlaczego my nie poluim, to musić nikt z państwa tu obecnych nie wie, choć nasi najlepsi myśliwi, jak książe Konstanty z Towian, ani obecny tu pan Bolesław z Trombaciszek nie zapolujo w wigilia, choćby im kto najlepsza stora gończych chciał zaprezentować. Jeżeli panowie ciekawi, to opowiem cała ta zdarzenia, które słyszałem od samego pana Kołyszki na parę lat przed jego śmiercią i od pana Cieszeyki, co w zeszłym roku pożegnał się ze światem mając już blisko lat dziewięćdziesiąt.

— Prosimy! — zawołali jednogłośnie wszyscy obecni.

— Wszak wszyscy panowie znali pana Kołyszkę, znanego naszego myśliwego — zaczął swoje opowiadanie pan Bronisz. — Człowiek on był akuratny, a w powstannym roku najdłużej trzymał meta w Puszczy Szymańskiej.

Nie lubił pan Kołyszko wiele gadać, ale kiedy jakie słowo z siebie wypuścił, tak nigdy żadnego fałszu czy fanaberii nie powiedział. Tak samo i pan Cieszeyko. Żyli ono w motji, a że obydwa nanieśnie lubili polowanie z gończyma, tak zawsze polowali razem we dwoch po całej naszej okolicy, w lasach Wiżuńskich i Świadoskich aż pod same Wiszynty.

Pan Kołyszko miał najsławniejsza stora gończych na całą naszą Litwe i Żmudź. Bywało, kiedy ruszą szaraka czy lisa, to gonią trzy godziny, ale zawsze na ten sam przesmyk, gdzie stał pan Kołyszko, zwierzyne nawrócą.

Było to musić temu lat około dwudziestu — ciągnął swe opowiadanie pan Bronisz — w sama wigilia Bożego Narodzenia. Zmówili się oni zapolować u pana Cieszeyki, wrócić wcześniej na wigilia i trafić na pasterka do parafii. Obydwa byli oni w stanie kawalerskim, cała komenda tak u pana Kołyszki trzymała jego siostra a u pana Cieszeyki jego siostrzenica. Obydwie były one gospodynie akuratne, ale, jak to mówio, język miały dobrze podwiesiwszy się. Pan Kołyszko i pan Cieszeyko każdy bał się swojej jak ognia.

Panna Karolina Cieszeykowna przykazała stryjowi nie spóźnić się na wigilia, bo na ten czas zadeklarowali się przyjechać pan Butler i pan Kiełpsz obydwa starzy kawalerowie. Jednym słowem, rozbudzili się oni wo kurach, siedli do rozwał i na szarym ranku byli już w kniei.

Nie bardzo im w ta pora poszancowało, śnieg był suchy, wiatr od kiepskiej strony, dość, że psy tracili trop. Do południa mieli wszystkiego jednego szaraka. Było już akuratnie po południu, otrąbili oni psy, wypili po kwaterce starki, zakąsili wędzoną sielawą, wiadomo, jak przy poście, i miarkowali wracać, bo pan Cieszeyko bardzo markocił się, żeby na pora do chaty wrócić.

Ledwo oni siedli do rozwał i psy wzieli na smycze, kiedy raptem, panie dobrodzieju, szarak wyrwał się spod śniegu tuż przy saniach, ale haniebnie wielka sztuka, sam ten kamieniak. Psy zaskowyczeli, zerwali smycze... i poooszedł gon, aż cała knieja echem zagrała... Psy wzieli na oko, ale szarak dał jedna, druga petla, dość, że zbałamucił gończe a sam poniósł się w las w stronę Świadość.

Wyskoczyli oni z rozwał, każdy biegnie na swój przesmyk, kędy szarak powinien skręcić. Zapomnieli oni, i o wigilii, i o przykazaniu panny Karoliny — wiadomo, myśliwi!

Stojo oni, czekajo, kiedy gon zawróci, ale gon jakiści nieakuratny, psy kołujo, raz słychać muzyka, to znów zamilczą, raz głos idzie od Uszpola, to znów od Dobejek, wreszcie gon zamarł. Tylko wiatr podniósł się i śnieżycą bije w oczy.

— Żeby ich na rojsty — mówi pan Cieszeyko — wyprowadził on i nas i psy na durniów.

— Nie ma co czekać, bo już ciemnieć zaczyna — mówi pan Kołyszko.

— Zatrąb na psy, pojedziem. Nadojadło już badziać się po lesie bez żadnego tołku, a do tego panna Karolina będzie swarzyć się.

Raptem psy zaskowyczeli gdzieści i ponieśli się, niewiadomo w ktora strona. Gon poszedł coraz dalej, dalej... i zgasł.

Tylko wiatr po wierzchowinach sosen wieje i jęczy.

Zatrąbił pan Cieszeyko jak na grubego zwierza myśląc, że psy zawrócą, ale z całego jego trąbienia wyszła „ni pipka, ni rybka". Zaczęli oni furmanom głos podawać, ale cóż ani furmanow, ani koni. Weszli oni na ścieżka, patrzą, jedna niby to w prawo, druga w lewo, sami już nie wiedzą, w ktora strona dać się, jednym słowem zbuntowali na czysto droga.

Zaryzykowali oni wreszcie iść w lewa strona. — Co będzi, myślio, to będzi, wszystko gdzieści wyjdziem z lasu na czystość.

Podeszli oni parę krokow, słyszą łomot w lesie, tylko gałęzie trzeszczą. Patrzo oni, a tu wysunął się na ścieżkę łoś, potem drugi i trzeci, przezergali oni ścieżka i skryli się w gęstwinie, ale łopaty na głowie haniebnie wielkie, wprost jak baleje. Zadziwili się oni, skąd tu w ta pora łosie, bo w wiżuńskich lasach łosi nie ma, musić przyszli z Łańskiej puszczy. Kalkulajo oni, że w ta strona będzie dobrych osiem mil.

Ido oni medytując cała ta zdarzenia. Nawet nie zanotowali oni, że ciemność zapadła, macajo oni pniow, żeby nie przekulić się. Słychać nad lasem wicher szumi i sosny chyli, aż pnie od wiatru skrzypio.

Raptem pan Kołyszko zatrzymał się i po cichu do pana Cieszeyki mówi: — słuchaj kumie.

Nastawił pan Cieszeyko uszow, nawet pochylił się do ziemi i powiada: — słyszę wyraźnie, wilki głos podają.

— Czy wiesz, bracie — mówi pan Kołyszko — cości na świecie przekręciwszy się do gory nogami, ale żeby przed Bożym Narodzeniem wilki roili się, to w życiu nie słyszałem.

Zamilkli oni medytując, co robić. A tu znów: Uuuuuuu... Uuuu... Uuuuu...

— Wyjo jak koło Gromnicznej, kiedy wilki gonią za wilczyco — mówi pan Kołyszko.

— Nu, panie Antoni, trzeba mnie słucnać i wracać do chaty, wszak musić już wigilia, a my tu w lesie jak poganie. A do tego dubeltka mam nabiwszy srotem zajęczym.

Bardzo obydwóm zrobiło się markotno, już i przymordowali się akuratnie, a tu gęstwina coraz większa.

Słyszo oni raptem, jakby ktości zapłakał, podeszli oni para krokow, w ta strona słyszo wyraźnie dzieciuk kwili pod nogami. Namacali oni w kieszeni siarczykow, zaciepili, patrzo pod sosno jakiści dzieciuk leży w powijakach, rożowieńki, jeszcze music sysun, jakby znaczy się wprost od pierści matki.

Medytujo oni, co robić. Zostawić w lesie, żeby jego wilki przeżarli — wychodzi nie katolicka sprawa. Brać z sobo, znow subiekcja.

Oba oni przez całe życie w kawalerskim przeżyli dziewictwie, tak nawet nie wiedzo, z jakiego boku dzieciuka zagabać. Podeszła im pod serca litosc, nie ma co, zaryzykowali wziąsc dzieciuka — jutro, mowio, proboszcz w parafii ogłosi z ambony, tak moze matka odnajdzie się.

Mówi pan Kołyszko do pana Cieszeyki: — zaryzykuj, kumie, pierwszy, bo sam gadałasz, że często dzieciukow do chrztu świętego trzymasz a popatrzywszy i ja zrobie proba.

Ido oni, ido, ciemność haniebna, a tu dzieciuk zaczął krzyczeć.

— Musić głodny — mówi pan Kołyszko — a do tego przy piersci karmiony; a ani ty, panie Antoni, ani ja przebywając od urodzenia w męskiej konsystencji, dzieciuka włano pierścio nie nakarmim.

A dzieciuk krzyczy.

— Trzeba jaka rada robić — mówi pan Kołyszko — bo dzieciuk jeszcze wilki na nas naprowadzi. Włóż, bracie, jemu mały palec do gęby, namacawszy przedtem szkaplerz, tak może zamilknie.

Ledwo pan Kołyszko ta swoja rada skończył, kiedy pan Cieszeyko krzyknął, jakby jego gadzina wkąsiła.

— Kumie, co jest? — pyta pan Kołyszko.

— Panie Stefanie, dzieciuk wkasił w palec. Weźmi jego, bo krew z palca lei się.

— Nu, to ze wszystkiem obojętna sprawa — mówi pan Kołyszko.

Ido oni, ido bez żadnej fanaberii, dzieciuk drze się, a do tego zawieja podniosła się w borze, śnieg bije w oczy, choć ty żyw, do ziemi leż.

Raptem gdzieści w lesie cości zabłysło, podeszli oni w ta strona, patrzo, chata i przez okno światło widać. Podeszli pod chate, zaczeli stukać, ale nikt nie otwiera. Namacali oni wreszcie drzwi, pchnęli do środka i weszli do izby. Patrzo oni, nikogo w izbie nie ma, tylko po środku izby na stole stoi otwarta trumna, a w niej jakiści nieboszczyk leży a przy trumnie ciepli sie jedna gromnica.

— Czy wiesz, bracie, straszno — mówi pan Cieszeyko.

— Oj straszno! — odpowiada pan Kołyszko.

Chcieli oni dać się z powrotem na podwórz, ale cóż, śnieg wieje, że człowiek sam siebie nie czuł.

Wrócili oni do chaty, położyli dzieciuka na ławie, bo panu Kołyszce ręka już zdrętwiała od trzymania, a sami zaczęli szukać gdzie suchych szakali, żeby troche w piecu zacieplić.

Raptem pan Cieszeyko obróciwszy, mówi:

— Panie Stefanie, dzieciuk gdzieści przepadł.

Tylko oni przemówili do siebie te słowa, kiedy słyszo, ktości za oknem zaśmiał się jakimści piekielnym głosem. Patrzo oni, a tu przez okno widać twarz, gęba rozdziawiwszy się, oczy świeco jak u wilka, poznajo oni akuratnie ta sama twarz dzieciuka tylko na mężczyznę przerzuciwszy się.

Siedli oni na ławie, trzęso się ze strachu, czekajo, co będzie dalej.

— Panie Antoni — szepce Kołyszko — cości w piecu rucha się.

Słyszo oni cości poruszyło się i jakiści piekielny głos harhocze: — Walę się — walę się.

A z trumny nieboszczyk grobowym głosem odzywa się: — Wal się, przeklęty, do końca świata.

Bęc!... cości z komina potoczyło się na podłoga.

Patrzo oni — głowa wielka, stara, skrzywiwszy się, wąsy długie, na głowie kołpak staromodny, gęba otwarta. Głowa zarechotała: walę się, walę się.

— Wal się, przeklęty, do końca świata — powtarza znow nieboszczyk w trumnie.

Bęc! ćwierć ciała zwaliło się znow na podłogę.

Tak cztery razy usłyszeli oni ten sam głos i te same przekleństwo, a kiedy ostatnia ćwierć była zwaliwszy się, wszystkie one byli zrosłszy się z głowo w jedna kupa. Wstaje trup żywy, mężczyzna wielki, stary, szabla starodawna przy boku, morda pijacka, cała we krwi, oczy jak szklane. Sunie się w ich strona, maca rękami jak ślepy; ledwo co oni na bok odskoczyli.

— Czuje ja gości — mówi strasznym głosem — czuje ja gości. Na doora nocowanie waszmoście przyszli, na doora nocowanie, proszę zagościc się, tylko w ta pora łożko zajęte — mówi pokazując ręką na trumnę.

— Cóż, ci polowanie w wigilia udało się?... Cha, cha, cha!

W tej chwili słyszo oni znow z podworza piekielny śmiech. Z okna poszła czerwone światła, to dzieciuk znow harnocze. Sunie się stary prosto na trumna, a nieboszczyk, co w trumnie leżał, raptem zaczyna podnosić się. Mężczyzna niewielki, ale morda chytra jak u lisa i dawaj sunąc się do starego.

— A ty pamiętasz — zapiszczał piekielnym dyszkantem — jak namówiłeś mnie zdradzic nasza strona i wiara katolicka za pieniądze sprzedać moskalowi, pamiętasz, jak ograbiłeś pieganie, zamordowałeś zakrystiana w sama wigilia a pieniądze przepiłasz w karczmie żydowskiej a potem żyda zabiłasz?

— A ty, judaszu, pamiętasz — harhocze stary — jak pieniądze, co my u moskala wzięli ode mnie ukradłasz a potem otrułasz, głowa odcielasz a moj korpus jak parsiuka byłasz pociąwszy na cztery ćwierci, do worka włozyłeś i zawiozłasz tu a potem podsunąłasz pod chatę i ziemią zawaliłasz?

— Cha, cha, cha... — zaśmiał się stary — stawaj tu przede mną, masz tu dobrych świadków, music takie same łajdaki jak ty, kiedy oni w wigilia krwawio się i niewinna żywioła po lasach mordujo.

Chwycił ten mały starego za piersi i jemu nozem, co nazywajo sztyletem, pod gardło podszedł, a stary chwycił się za szabla. Dawaj oni wodzić się po chacie, tylko iskry sypio się a od nich poszedł taki zapach trupi, że panu Kołyszce i Cieszeyce duch zatknęło.

Podpatrzyli oni, kiedy ci od drzwi odeszli, jak rzuco się z chaty na podworz, ale stary poczuł i dawaj za niemi, wczepił się swemi pazurami w kołnierz pana Kołyszki, ale ten wyrwał się i tylko na karku krew poczuł.

Jednym słowem uniesli się oni z chaty na podworz na pół przytomni i pobiegli jak oszaleli, przystali dopiero, kiedy im już tchu zabrakło, popatrzyli w tył, widzo łuna świeci

— Patrzaj — mówi pan Cieszeyko — chata pali się.

Uklękli oni, odmówili pacierz, jakości im zalżało na duszy. Suno się jno naprzód, ale powoli, podżyłki im z tego strachu i zmordowanio trzęcą się. Wyszli oni na jakaś droga, widzo naprzeciwko jakieś światło błękitne wprost na nich suni się.

Patrzo oni — dziewczynka młoda suni się po drodze, a płacze, a zawodzi: — Ja chcę do domu, ja chcę do mamusi — jęczy — zimno mnie, puście mnie... do mamusi. Byłam niedobra, nie słuchałam rodziców, poszłam w świat, zaplamiłam nasza familia... na świecie tak straszno. Puście mnie do domu na wigilię... Pędzą mnie, pędzą mnie... Przesunęła się ta dziewczynka, twarzyczka blada, włoski rozpuszczone, rączki załamane.

Patrzo znów jakiści światło suni się. Idzie stary człowiek zgarbiwszy się, futro na nim haniebnie piękne, pierścionki błyszczo na palcach, twarz zasuszona i lamentuj: — Nie mam wigilii, nie mam domu, krzywdziłem i obdzierałem sieroty, zagrabiłem ich ojcowiznę, byłem złym opiekunem. Zimno mnie, pędzą mnie, zaproście na wigilię.

Przeszedł ten stary, patrzo suni się za nim drugi mężczyzna, młody, przystojny, jak to mówią „belfam" i tylko płacząc zawodzi: — Nie mam wigilii, nie mam domu, dom rodzinny przetrwoniłem na karty, na hulanki, na rozpusta, zgubiłem żone, zgubiłem dziatki, zimno strasznie mnie.

Ido oni, ido, zamieć haniebna, coraz więcej takiego narodu suni przez drogę a każdy płacze a każdy prosi się na wigilię. Jak oni długo szli, nie pamiętają.

— Musić dusze pokutujące — mówi pan Kołyszko — trzeba zmówić „wieczne odpocznienie".

Trudno im gadać, bo język czujo przyschnięty do podniebienia z tego strachu i zmordowania.

Raptem pan Cieszeyko zatrzymał się, — Słyszysz, bracie? — zaszeptał. Słyszą oni, z daleka wilk zawył, potem drugi, coraz ich więcej, jednym słowem wycie podniosło się na cały las. Na ich szczęście trafili oni pod rozłożysty dąb, a nie pod sosnę. Miesiąc pokazał się na chwilkę, dość że mieli czas wgramolic się na gałęzie. Pan Cieszeyko siadł na wyższej a pan Kołyszko w dole na drugiej.

Ledwo oni wdrapali się a tu stado wilkow, musić doore dwa tuziny. Podskoczyli wilki pod drzewo, dawaj stawac na dwóch łapach, dawaj obwąchiwac. Wiadomo, wilk na drzewo jak kotka nie wdrapi się, tak tylko kręco się koło drzewa a potem każdy, z przeproszeniem podjął tylna noga pod drzewo i swoj slad pozostawił. Poszedł od ich ta etykieta smrod haniebny, aż panu Cieszeyce wątroba pod gardło podeszła, krzyczy on, że jego mdłości porwali.

Pan Kołyszko tylko na niego krzyknął: Trzymaj się, mow pacierz, bo inaczej zginiem obydwa.

A tu zawierucha coraz gorsza, tylko pni skrzypio i gałęzi trzeszczą.

— Matko Boża, ratuj! — zawołali obydwa nieswoim głosem.

Kiedy oni te słowa przemowili, nawałnica jakby zacichła, pokazały się gwiazdy i miesiąc wyszedł zza chmur. W borze ucichło, wilki gdzieści znikli, nie słychać już ich piekielnego wycia. Pociągnęli nosem, już nie czuć wilczego dewelderku a tylko powietrze czyste, ciepłe jak na odwilż, pachnie jedliną i borem. Słuchajo oni, sami nie wiedząc, czy płakac, czy radować się. Zaryzykowali oni zleźć z drzewa, patrzo, śnieg bielutki wkoło drzewa, żadnych śladow wilczych nie widać.

Pan Kołyszko, co miał słuch akuratny, przystawił rękę do uszu:

— Bracie, — mówi do Cieszeyki — słychać jakby dalekie dzwonienie kościelne.

— Poznaje — mówi pan Cieszeyko przez łzy — to w Lelunach dzwonią na pasterka.

Akuratnie posłyszeli oni głos dzwonow coraz silniejszy. Dzwoniono ze wszystkich stron, słychać dzwony i z Uszpola, i z Dobejek, Ucian, Wiżun, Świadość a nawet jakims cudem słyszo, jak bijo dalekie dzwony w Owancie, Dawgielach, w Kukuciszkach. Z całej okolicy zrywa się głos dzwonow aż powietrze zadrgało, a potem jakaści jasność przeciągnęła nad borem i słyszo oni organy i piesn wielka płynie po wierzchowinach lesnych jak z nieba.

— Bog się z Panny narodził, nas z jenstwa wyswobodził...

Klękli oni na śniegu a płaczo, a modlo się, a dziękują Panu Bogu, jak music nigdy w życiu nie modlili się.

Raptem w lesie cości zaświeciło, słychać głos janczarow. Patrzo, kaganiec i konie szydiem pędzą w ich stronę.

— To moje konie z Antaprudzia! — woła pan Cieszeyko.

Podjechał stangret, zdjął czapkę, przezegnał się. — No, chwalić Pana Boga, co panow żywych odnalazłem, bo u nas we dworze płacz i żałoba, że cości panom przytrafiłsy się. Nasza panienka tak zesłabła z żałości. Porozsyłali my konie na wszystkie cztery strony. Psy tak oni wrócjwszy poźnym wieczorem do dworu, ale haniebnie zmordowane, ogony podkurczone, trzęsą się a na żarcie patrzeć nie chcą.

— Słuchaj Wincenty, nie pytaj w ta pora, a powiedz, który kościół najbliższy.

— Miarkuje, co musić Dobejki.

— Jedź, bracie, do kościoła, jeszcze na pasterka trafim.

Wysłuchali oni Msza święta, wyszli z kościoła a łzy im ciągle z oczu płyną.

— Nu, Wincenty — mówi pan Cieszeyko — kręć teraz do chaty. A czy panienka będzie swarzyć się?

— Niechaj pan nie biedui, nasza panienka wie, kiedy swarzyć się.

Było już dobrze po północy, kiedy zajechali oni do Antaprudzia. Znaleźli oni cały dwór na nogach a panna Karolina z panem Kiełpszem i Butlerem siedzo przy nietkniętych opłatkach przy stole i płaczo. Kiedy ich ujrzeli, zakrzyknęli, jak gdyby nieboszczykow obaczyli, bo obydwa przez ta pora posiwieli, a twarze blade jak opłatek, jednemu z palca, drugiemu z karku krew pokazui się.

Panna Karolina opatrzyła rany, dała obydwóm ciepłego krupniku na rozgrzewkę. Przełamali się opłatkiem i zasiedli na spoźniona wigilia. Kiedy oni wreszcie wrócili do mety, opowiedzieli całe swoje zdarzenie.

Było już dobrze wo kurach, kiedy poszli na spoczynek.

Prędko cała ta historia rozeszła się po całej Litwie i Żmudzi. Od tego czasu w każda wigilia panu Kołyszce bardzo w karku dolega, a panu Cieszeyce krew pokazui się z palca. A na dubeltki w dzień ten nawet patrzeć im obojętnie.

— Ot dlaczego — panie dobrodzieju — w naszych stronach wiłkomierskich nigdy my w dzień wigilii nie poluim — zakończył swoją opowieść pan Bronisz.

Mieczysław Jałowiecki

JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

Bajka o nieprawdziwej prawdzie

Witowi Tarnawskiemu

Nie żaden zamek — domek w ogródku,
Pół kopy drzewek, pół sterty traw.
Płot od ulicy, skrzypiąca furtka,
Konik i wózek, w szuwarach staw.

Takie maleńkie... A tyś się uwziął
Chcieć, aby żyło — oprawa scen
Najzwyczajniejszych? Najprędzej umrze,
Zapada w niebyt, odchodzi w sen.

Ale, pomyślisz, dlaczego — dziecko
Woła do swojej "najlepszej z mam":
— Mów "o sierotce", ja innej nie chcę,
To nic że dawna, że ją już znam!

Czemu się dalej z odpustu toczy
Pierścionek Stacha i — z ręki Wikt
Wróży cyganka? Pierwotnych ojczyzn
Wstydliwa prawda, niestarty ryt?

Czyżby dwa życia? Ty po środku.
Które realne, które ze scen?
Oba — na niby. (...Biedna sierotka...)
Bajka skończona. Zapadasz w sen.

Jerzy Dołęga Kowalewski

MARIA STRZAŁKOWSKA

MALARSTWO JÓZEFA CZAPSKIEGO

Józef Czapski debiutował jako malarz w Paryżu, mniej więcej 20 lat temu, obecna wystawa w Galerie Bénézit (93, Boul. Haussmann) jest więc jakby drugim debiutem po przerwie wojennej.

W ciągu sezonu bywa w Paryżu około 50 wernisaży na tydzień, nigdy jednak nie brak artystów, którzy gotowi są ponieść największe ofiary, aby swe płótna wydobyć z pracowni i pokazać, mimo ogromnej konkurencji na tym polu.

Czapski jako malarz urodził się na Akademii Krakowskiej, po pierwszej wojnie światowej, w koleżeńskiej grupie zwanej „K.P." (Komitet Paryski), zawiązanej z zamiarem wspólnego wyjazdu do stolicy współczesnego malarstwa — Paryża.

Skład grupy był bardzo różnorodny; chłopcy ci zeszli się z różnych krańców ziem polskich i spoza jej granic, z różnych armii wojny światowej.

Łączyła ich pasja malarska, wiara w swój talent, a także wspólna gwałtowna reakcja przeciwko tak popularnemu w Polsce malarstwu wyłącznie tematycznemu z zaniedbaniem formalnych zagadnień sztuki. Charakterystyczną cechą całej grupy był nacisk na kolorystykę i kompozycję. Mistrzem wszystkich był przede wszystkim Cézanne. Czapski przeżywał ponadto najsilniej wpływy Bonnarda i Matisse'a.

Najbardziej odkrywczym w grupie Kapistów był Jan Cybis, z pochodzenia chłop śląski, ze śląska wtedy niemieckiego, zażarty w pracy, wytrwały i wierny kolorom, nie lubiący nigdy się śpieszyć.

(Ciąg dalszy na str. 6)

Józef Czapski: PRZY OGNISKU

LUIGI PIRANDELLO

WIARA

Na plebanii, do niskiego, oświetlonego i zacisznego pokoju o murowanej podłodze, której tafle wyrobu „Walencja" utraciły tu i owdzie swój połysk, wdzierał się przez okno spokojny i prochem wibrujący prostokąt słoneczny, a cienie wykoronkowanych firanek kładły się na ziemi jakby wyszłe spod prasy drukarskiej. Na ścianie zwisała klatka, w której tłukł się kanarek, a z podwórza dolatywał zapach chleba, świeżo wydobytego z pieca, wionął ciepłem i mieszał się to z wilgotnym zapachem kadzideł z pobliskiego kościółka, to z wonniejącymi ziołami, wydobywającymi się ze starej skrzyni.

Zdawało się, że nic nie zdoła zamącić ciszy w tym pokoju. Nieruchome było światło słoneczne, niezmącony spokój, podobnie jak patrząc przez okno w dół podwórza, wśród szarych kamyków nieruchome były źdźbła trawy i kłosy słomy, wypadłe ze żłobu stojącego w rogu podwórza, pod poddaszem nakrytym czerwoną dachówką i masą żwiru, spadającego z ostrego i wysokiego szczytu.

W mieszkaniu, wokół starej skrzyni, stały starodawne, małe krzesła, pomalowane na czarno, czyste, czyściutenkie, wszystkie ze srebrnymi krzyżykami na poręczach, przypominające podstarzałe mniszki, zadowolone, że w ustroniu są dobrze strzeżone i nieporuszane przez nikogo. Zdawało się, że stoją z przyjemnością patrząc na żelazne łóżko plebana, ponad którym, u wezgłowia, na wybielonej ścianie, zwisał na czarnym drzewie Chrystus, wykuty z kości słoniowej, długi i pożółkły.

Ponad wszystkim widać było Boże Dzieciątko, tłusciutkie, z wosku, stojące na skrzyni, na podstawie wysłanej niebieskim jedwabiem, zasłonięte od much cienką, również niebieską, woalką. Dzieciątko zdawało się wykorzystywać zacisze w owym świetle słonecznym, by moc spać snem szczęśliwym, z rączką wspartą o pulchniutkie policzki, wśród owych mistycznych zapachów kadzideł, ziół i ciepłego chleba.

W pokoju, na foteliku z juty, spał również ksiądz Piotr, łysy, pergaminowy, z nogami wspartymi o łóżko, pochylony całym ciężarem w tył, na poręcz. Lecz jego sen był całkiem odmienny. Spał z ustami otwartymi, snem starca i chorego. Wychudłe powieki zdawały się nie mieć nawet sił, by zamknąć się ponad twardymi, obolałymi gałkami mętnych oczu. Nieregularny oddech, wskazujący na ból serca, poruszał z chrapliwym świstem nozdrza.

Pożółkła, ziemista, schorowana twarz przyjmowała w czasie snu, jakby na przekór woli księdza, wyraz zły, drwiący, jakby ciało, w czasie chwilowej nieobecności ducha, zapragnęło zemścić się na nim, który przez tyle lat srogo je katował i doprowadził do takiego służalczego, opłakanego i nieszczęśliwego stanu. W tym bezładnym opuszczeniu, ze strugą śliny spływającą z dolnej wargi, organizm wykazywał, że jest na granicy wytrzymałości. Prawie sprośnie objawiał swoje zwierzęce cierpienie.

Ksiądz Anioł, wpadłszy z furią do pokoju, zatrzymał się natychmiast i począł stąpać na palcach. Stał może z dziesięć minut medytując o księdzu śpiącym w zaciszu, ale tą medytacją, która mogła, z chwili na chwilę, wybuchnąć zmieniając się w gniew. Uwidaczniały to ręce raz otwierając raz zamykając się w pięść aż do wbijania paznokci w ciało. Aby zbudzić śpiącego, chciało mu się krzyczeć:

— Księże proboszczu, zdecydowałem zrzucić sutannę!

Lecz usiłował wstrzymać nawet oddech z obawy, aby ów święty starzec, zbudziwszy się, nie znalazł go niespodzianie przed sobą w tym zdenerwowanym podnieceniu, objawiającym się nie tylko w oczach, ale i w całej zirytowanej twarzy. By go nie zbudzić, miał nawet zamiar jednym zamachem wyrzucić przez okno zwisającą na ścianie klatkę, która tak go drażniła, a zwłaszcza zgrzyt wywoływany drapaniem kanarka o cynkowe dno.

Dnia poprzedniego spacerując po pokoju tam i z powrotem, conajmniej przez cztery godziny, trząsł się i kurczył, jakby chciał zerwać ze swojej zbuntowanej osóbki sutannę i wyrzucić ją, nogi zaś poruszały mu się w taki sposób, jakby ją chciały zdeptać, a w czasie tego zawzięcie dyskutował z księdzem Piotrem o swoim zamiarze porzucenia stanu kapłańskiego, nie dlatego, aby stracił wiarę, ale dlatego, że był szczerze przekonany, iż poprzez studia i rozmyślania nabył inną, bardziej żywą i wolną, z tego więc powodu nie mógłby na przyszłość ani akceptować, ani znosić więzów czy umartwień, jakie nakładała na niego wiara stara. Dyskusja z jego strony stawała się coraz to gwałtowniejsza, nie tyle z powodu odpowiedzi ze strony księdza Piotra, ile przez wzrastającą pogardę dla samego siebie, niezwyciężoną i absurdalną potrzebę, jaką czuł w sobie, by iść i zwierzać się owemu świętemu starcowi, swojemu pierwszemu nauczycielowi i przez wiele lat spowiednikowi, chociaż uważał go za nieżdolnego do zrozumienia ani jego bólów, ani trosk i rozpaczy.

Ksiądz Piotr pozwalał mu się rzeczywiście wyładować, mrużąc od czasu do czasu oczy, na których pojawiał się leciuchny uśmiech, chociaż wargi zdawały się ku temu nie być odpowiednie, uśmiech dobrotliwie ironiczny, i bez obrazy, z pobłażaniem, szemrał:

Próżność... Próżność...

Inna wiara? Lecz jaka, jeśli jest tylko jedna? Bardziej żywa? Bardziej wolna? Toż właśnie jest próżność. Boć gdyby lepiej zastanowił się, że straciwszy ów młodzieńczy tupet, zgasiwszy żar szatański i ostudziwszy krew w żyłach, nie miałby już w płomiennych oczach tego ognia, zaś z siwymi włosami lub z gołą głową nie byłby tak piękny ani rzeski. W ogóle traktował go jak chłopca, który z pewnością nie spowoduje skandalu, tak jak zagrażał, choćby z tego powodu, by nie sprawić bólu swojej starej mamie, która tak bardzo dla niego się poświęcała.

I rzeczywiście na wspomnienie swojej matki uczuł, jak łzy mu z oczu spływają. Ale właśnie z powodu niej, z powodu swojej podeszłej wiekiem matki, doszedł do tego postanowienia; by jej więcej nie oszukiwać; i aby więcej nie znosić męczarni, jaką mu dawała świadomość, że jest uważany przez nią za małego świętego. Jakim okrucieństwem, jakim strasznym widowiskiem jest ten sen starca! Najbardziej jasny wyraz owej nowej prawdy, która mu się objawiła, mieścił się w tym nieskończonym ubóstwie wyczerpanego i opuszczonego ciała.

W owej chwili zamknęło się wejście do izdebki i weszła siostra księdza Piotra, stara, mała, ziemista, odziana na czarno, z czarną chuściną na głowie, skurczona i trzęsąca się jeszcze bardziej od swojego brata. Księdzu Aniołowi zdawało się, że — jakby wezwana jego łzami — weszła do pokoju jego matka, taka mała, woskowa i odziana na czarno, podobnie jak owa. I podniósł oczy, by na nią popatrzeć z przerażeniem, nie rozumiejąc w pierwszym momencie, o co go pytała:

— Co robi? Śpi?

Ksiądz Anioł przytaknął głową.

— A ty dlaczego płaczesz?

W tej chwili ksiądz Piotr otworzył zdziecinniałe oczy i mając usta jeszcze na pół otwarte podniósł głowę z oparcia fotela.

— Ach, to ty, Aniele? Co słychać?

Wtedy siostra zbliżyła się do niego i opierając się o krzesło wyszeptała mu kilka słów do ucha. Wówczas ksiądz Piotr podniósł się z trudnością i, sunąc nogami, położył dłoń na barkach księdza Anioła pytając:

— Synu mój, możesz mi zrobić grzeczność? Przyszła ze wsi pewna biedna staruszka pytając się o mnie. Widzisz, ze zaledwie stoję na nogach. Czy nie zechciałbyś iść w moim imieniu? Znajduje się w zakrystii. Możesz iść tędy, przez schody wewnętrzne. Idź, idź, bo ty jesteś moim dobrym synem. Niech ci Bóg błogosławi!

Ksiądz Anioł wyszedł bez słowa odpowiedzi. Może nawet nie zrozumiał dobrze proboszcza? Wewnątrz, na schodach plebanii, wąskich i ciemnych, zatrzymał się przy murze. Wsparł głowę na ręce, która przy schodzeniu opadała w dół i począł płakać jak dziecko. Tym płaczem, co spala oczy i dusi. Płaczem poniżenia, gniewu i litości równocześnie. Kiedy w końcu przybył do zakrystii, czuł się jakby wolny od wszystkiego. Zakrystia wydawała mu się zupełnie inna, jakby pierwszy raz się w niej znalazł. Zimna, ponura i oświetlona. A znalazłszy w niej staruszkę, niemal nie zrozumiał, na kogo tu oczekuje. Wydawała mu się prawie nierealną.

Była to stara wieśniaczka, cała owinięta szmatami, zabrudzona, poczynając od zaczerwienionych i przerażająco otwartych powiek. Mlaskając powodowała, że chuda broda skakała jej ustawicznie aż do nosa. W jednej ręce trzymała za nogi dwa małe kurczęta a w drugiej, na otwartej dłoni, pokazywała 3 srebrne liry, nie wiadomo od jak dawna przechowywane. Na ziemi, u nóg obutych w parę zużytych, ogromnych męskich buciskow, trzymała brudny tobołek, pełen migdałów i orzechów.

Ksiądz Anioł popatrzył na nią z odrazą.

— Co chcecie?

Staruszka usiłując popatrzeć na niego wyjąkała coś językiem utkwionym w pomarszczone i zapadłe policzki, pomiędzy bezzębnymi szczękami.

— Co mówicie? Nie słyszę. Czy nazywacie się ciotka Croce?

Tak, ciotka Croce. Była ciotką Croce. Ksiądz Piotr znał ją dobrze. Ciotka Croce Scoma. Jej mąż wiele lat temu zatonął w rzece Naro. Przyszła pieszo z tym tobołkiem na plecach z równiny Cannatello. Więcej niż siedem mil drogi. Ofiarą dwu kogucików, tobołkiem migdałów i orzechów oraz trzema srebrnymi lirami chciała przebłagać świętego Kalogero (ksiądz Piotr wiedział o tym), świętego wszystkich łask, który uzdrowił jej syna ze śmiertelnej choroby. Ów syn, zaledwie wyzdrowiał, wyjechał do Ameryki. Przyobiecał jej, że stamtąd napisze do niej i każdego miesiąca wyśle jej coś na utrzymanie. Upłynęło szesnaście miesięcy; nie otrzymała żadnej wiadomości. Nie wiedziała nawet, czy żyje czy umarł. Gdybyż wiedziała przynajmniej, że żyje. Cierpliwości, że jej nic nie przysyłał. Ale nawet bez kilku słów. Nic. Obecnie wszyscy we wsi mówili, że stało się tak dlatego, ponieważ, po wyzdrowieniu syna, nie wypełniła ślubu złożonego świętemu Kalogero. Pewnie, że powinna była wypełnić. Sama to stwierdzała. Ślubu jednak nie wypełniła (ksiądz Piotr wiedział o tym), ponieważ, z powodu choroby syna, wyniszczyła się z wszystkiego i pozostały jej zaledwie oczy do płaczu. Do płaczu krwią. Tak, krwią. Potem, kiedy wyjechał jej syn, jak mogła staruszka, sama, bez niczyjej pomocy, znaleźć trzy liry na ofiarę mszy świętej, jeśli zarabiała tyle na dzień, ile jej zaledwie wystarczało, by nie umrzeć śmiercią głodową. Szesnaście miesięcy na to trzeba było i to jak ciężkich, Bóg jeden wiedział. Ale teraz nareszcie są i dwa kogucików i trzy liry i migdały z orzechami. Litościwy święty Kalogero da się ubłagać i wkrótce, bez wątpienia, nadejdzie z Ameryk wiadomość, że syn jej żyje i pracuje.

W czasie gdy staruszka tak mówiła, ksiądz Anioł chodził tam i z powrotem po pokoju, rzucając na wszystkie strony dzikie spojrzenia, otwierając i ściskając dłonie, gdyż przychodziło mu na myśl schwycić starą za barki, potrząsnąć z całej siły i krzyknąć w twarz:

— Taka jest twoja wiara?

Lecz nie: z innymi, z innymi, ale nie z tą staruszką; innych: swoich księży kolegów chciałby chwycić za barki i potrząsnąć, swoich księży kolegów, którzy w takiej nikczemności utrzymywali tyle biednych ludzi i na tej nikczemności zarabiali. Ach, Boże, jak mogli zabierać na mszę od owej staruszki trzy liry i kogucików i migdały z orzechami?

— Zabierzcie ten tobołek i idźcie sobie! — krzyknął całkiem ze złością.

Popatrzyła na niego oszołomiona.

— Mówię wam, że możecie iść sobie — dodał ksiądz Anioł wpadając w gniew jeszcze bardziej. — Święty Kalogero nie potrzebuje ani waszych kurcząt, ani suszonych fig. Jeśli wasz syn zechce napisać, bądźcie pewni, że napisze. Co do mszy oznajmiam wam, że ksiądz Piotr jest chory. Idźcie sobie! Idźcie!

Jakby zagłuszona jego podniesionym głosem wymamrotała:

— Co to ksiądz mówi? Czy ksiądz nie zrozumiał, że to jest ślub? To jest ślub!

A było w tych słowach, chociaż spokojnych, takie oszołomienie z powodu niezrozumienia jej, prawie nie do wiary, że ksiądz Anioł był zmuszony wstrzymać się ze słowami. Pomyślał, że przecież znajduje się tu w zastępstwie księdza proboszcza i opanował się. Słowami bardziej umiarkowanymi usiłował wyperswadować staruszce, aby zabrała ze sobą i kurczęta i migdały i orzechy, odnośnie zaś mszy świętej oznajmił jej, że jeśli sobie życzy, może ją sam odprawić w zastępstwie księdza proboszcza, lecz pod warunkiem, że ona zatrzyma sobie trzy liry.

Stara, niemal przestraszona, powiodła po nim wzrokiem powtarzając:

— Jak to? Co ksiądz powiada? Więc cóż to za ślub? Jakież ma znaczenie, jeśli nie dam tego, co obiecałam? Przepraszam, z kim mówię? Czyż nie mówię do księdza? Dlaczego mnie dobrodziej tak traktuje? Czy ksiądz sobie myśli, że nie daję miłosiernemu świętemu Kalogero z całego serca, tak jak obiecałam. Ach Boże! Boże! Może dlatego, że powiedziałam, z jaką trudnością przyszło mi je uciułać?

To mówiąc rozpłakała się beznadziejnie owymi strasznie zaczerwienionymi oczami.

Ksiądz Anioł wzruszony i do głębi przejęty owym płaczem, pożałował swojej szorstkości i wzbudził się w nim nagle szacunek, boć niemal poniżał się ze wstydu przed tą staruszką, płaczącą przed nim za obrażoną swoją wiarę.

Zbliżył się do niej, pocieszył ją i powiedział, że nie myślał o tym, o co go podejrzewa i że może pozostawić tutaj wszystko, także i trzy liry. Tak. Tymczasem może wejść do kościoła, gdzie odprawi na jej intencję nabożeństwo.

Zawołał kościelnego. Podszedł do „umywalki". I kiedy kościelny pomagał mu ubierać się, myślał, że mógłby znaleźć sposób na oddanie staruszce po mszy świętej i pieniędzy i kurcząt i ofiary z tobołkiem. Ale, aby ofiara miała znaczenie, gdyby staruszka zgodziła się przyjąć dar z powrotem, czyż nie wymagała czegoś, czego on czuł, że nie posiada. Bo cóż za miłosierdzie mogłoby się dokonać za cenę jednej mszy, gdyby za wszystkie trudy i żmojne poświęcenia staruszki, poniesione dla dokonania ślubu, on nie odprawił nabożeństwa ze szczerą i płomienną żarliwością? Byłaby to funkcja niegodna jałmużny trzech lirów.

I ksiądz Anioł, już ubrany, z kielichem w ręce, niepewny i przejęty obawą, zatrzymał się chwilowo na progu zakrystii, by popatrzeć na pusty kościół. Czyż godziło mu się bez wiary wstępować na stopnie ołtarza? Lecz przed ołtarzem zobaczył rozciągniętą staruszkę, z czołem dotykającym posadzki i uczuł w sobie jakiś nowy powiew, podnoszący mu piersi, a po plecach przeszły mu nagle ciarki. O, dlaczegoż dotąd wyobrażał sobie wiarę piękną i promienistą jak słońce? A oto tu, tu, w tym ubóstwie klęczącego bólu, w tym przejmującym smutku rozciągniętego stracha, tu jest wiara.

I ksiądz Anioł, jak popchnięty, wstąpił przed ołtarz, przejęty tak wielkim miłosierdziem, że trzęsły mu się ręce i trząsł się cały, podobnie jak pierwszy raz, gdy tu się zbliżał.

I dla tej wiary modlił się z oczami zamkniętymi, wszedłszy do duszy owej staruszki jak do ciemnej i smutnej świątyni, gdzie gorzała wiara; prosił Boga owej świątyni, jakim był i jakim mógłby być: jedynym dobrem i tylko jedyną wyłącznie radą na ową niedolę.

Po skończonym nabożeństwie zatrzymał ofiarę trzech lirów, ażeby małym dobrodziejstwem nie pomniejszyć wielkiego dobrodziejstwa, jakim jest wiara.

Tłumaczył S. P.

MARIA STRZAŁKOWSKA

MALARSTWO JÓZEFA CZAPSKIEGO

(Ciąg dalszy ze str. 5)

Zygmunta Waliszewskiego cechowała najszerszą skala w sensie różnorodnych i sprzecznych poszukiwań: plama, linia, bogata, fantastyczna tematyka, obok uparcie studiowanych martwych pejzaży i ludzkich twarzy. Rytm jego wzrostu i pośpiech twórczy zapowiadały śmierć przedwczesną. Lata młodzieńcze spędził na Kaukazie, a warunki ówczesnego tam życia i jego powrót do Polski przypominały żywo koleje losu Cezarego Baryki.

Cybis i Waliszewski zaważyli obaj na rozwoju malarskim Czapskiego, więcej aniżeli Pankiewicz, bezpośredni profesor artysty. W miarę lat Czapski stopniowo się uniezależnia, a w pracach jego zaczyna grać coraz większą rolę twarz ludzka a nawet scena rodzajowa.

Typowymi dla ostatniego etapu w Polsce obrazami Czapskiego były „Żydówka w wagonie 3 klasy", „Autobus na Placu Teatralnym" i „Bufet w Otwocku", ten ostatni reprodukowany w „Polish Painting", albumie wydanym w latach wojennych w Londynie.

Cały przedwojenny dorobek malarski Czapskiego zginął doszczętnie, ale najbardziej reprezentatywne płótno dzisiejszej wystawy: „Kobieta zstępująca ze schodów Gare St. Lazare" jest bezpośrednim nawiązaniem do wyżej wspomnianych płócien przedwojennych.

Czym się różni dzisiejsze malarstwo Czapskiego od jego prac z 1939 r. od kiedy zmobilizowany 30 sierpnia odszedł na dziesięć lat od sztalug?

W obozach jenieckich w Rosji, w podróżach, wędrówkach a następnie na różnych funkcjach wojskowej służby Czapski pozostał malarzem.

W obozach rozporządzając jedynie lichym ołówkiem i odrobiną złego papieru rysował dzień w dzień dziesiątki portretów swoich kolegów oraz siebie samego w małym lusterku do golenia. Rysował swoje ręce i nogi, stołki, lampy, kadzie na wodę, ręczniki — wszystko jednym słowem, co w ówczesnych warunkach miał przed oczami. Już pod koniec niewoli udało mu się zdobyć w obozowym sklepiku kilka guziczków dziecinnych farb akwarelowych i jakieś podobieństwo pędzelka, ale to co wtedy, za kolczastymi drutami, odkrył, to rysunek, linię. Odtąd nie rozstaje się z ołówkiem, następnie z piórem, wreszcie z dwoma lub trzeba piórami różnych grubości.

Z całej wędrówki, od granic Związku Sowieckiego, poprzez Irak, Palestynę, Egipt, Italię, aż do Paryża przywozi stosy zapisanych i zarysowanych zeszytów — tysiące rysunków, często podkolorowanych kredką lub akwarelą.

Nową dziedziną tematyczną były dla Czapskiego jego dwukrotne podróże do Stanów Zjednoczonych i do Kanady: specyficzny pejzaż, dziwność konstrukcji New Yorku i Chicago, twarze ludzkie.

Dziś wszystko jest dla niego materiałem malarskim: obłok, liść, dom, pies, człowiek, ptak. Jego rysunki, to notatki uchwycone błyskawicznie, nieraz w kilka sekund, z całą wiernością migawki wzrokowej i siłą przeżycia, czy będzie to portret króla Iraku, uchwycony w przypadkowym spotkaniu w Bagdadzie, czy mewy w Folkestone, czy murzyn w amerykańskim drugstorze, czy paryskie sceny uliczne, w kawiarni, metrze, poczekalniach...

Czapski wraca do sztalugowego malarstwa dopiero w 1949 r. i mimo wielkiej trudności ponownego zżycia się z płótnem i farbą olejną, korzysta z bogactwa nabytego w ciągu tamtych lat: wiedzy rysunkowej i śmiałości kompozycji.

W dwudziestu kilku płótnach, wystawionych obecnie odnajdujemy tę samą co dawniej różnorodność, od studiów ściśle naturalistycznych, w tradycji Corota, poprzez studia natury, w których znać jeszcze wpływ postimpresjonizmu, artysta dociera do najbardziej osobistej wizji, czyli do płócien kompozycyjnych, malowanych z pamięci, jak wspomniana wyżej „Gare St. Lazare", „Stara chłopka w Corrèze", „Sceny przy ognisku", czy też postać „Patrycji Newey w operze The Consul".

Co uderza na tej wystawie, to, że obok kompozycji dużych, śmiałych płócien, gdzie przedmioty i ludzie ulegają nieraz ekspresyjnej deformacji, oglądamy sześćdziesiąt kilka rysunków, częściowo podkolorowanych, najzupełniej ścisłych notatek otaczającego świata, o takiej czujności wobec natury, jak rzadko się spotyka dziś na wystawach paryskich; migawkowe rysunki portretowe, jak król Fejsal, Daniel Halévy albo Aleksiej Remizow są ponadto uderzająco podobne.

Do katalogu swoich prac dołączył artysta parę słów wstępnych, w których stwierdza, że pomiędzy abstrakcyjnym bizantynizmem, post-post-impresjonizmem (niezdolnym już do nowego spojrzenia) oraz antymalarskim, jakoby socjalistycznym realizmem, artysta musi szukać tej pełni, która by zdołała połączyć i pogodzić zasadnicze elementy malarstwa: konstrukcję formalną, organizującą obraz i widzenie ludzi i rzeczy.

Tym, którzy mu zarzucają różnorodność jego poszukiwań, Czapski odpowiada, że w epokach rozdartych, jak nasza, artysta przeżywa świat wielorako i w ciasnych formułkach się nie mieści.

Czapski przypomina, że mistrzem jego od 1930 r. do dziś dnia jest Goya, który obok cudownych, obiektywnych portretów, które mogą służyć za wzory rzemiosła, malował postacie królów na granicy karykatury a poza tym szalone sabaty czarownic, malowane jak w gorączce, zupełnie odmiennym „pismem".

Swobodny i precyzyjny w rysunkach, nieraz mistrzowskich, w olejnych płótnach jest Czapski nierówny i oglądając jego prace na wystawie u Bénézita odnosimy istotnie wrażenie powtórnego, bojowego debiutu.

Maria Strzałkowska

ALBERT SCHWEITZER

Dnia 20 października b.r. doktór Albert Schweitzer został uroczyście mianowany członkiem Akademii Nauk Moralnych i Politycznych w Paryżu. Sędziwy „apostoł z Lambaréné", jak nazywają go francuskie gazety, przybył osobiście do Instytutu ze swojej alzackiej wioski, gdzie wypoczywa od pewnego czasu po trudach Afryki. Od dawna nie pamiętano, by sala, w której odbywają się posiedzenia Akademii zapełniona była tak wielkim tłumem. Generał Koenig ledwo przecisnął się do swego fotela. W pierwszym rzędzie zajęli miejsce: oficjalny gość Francji królowa Elżbieta belgijska i ambasador Szwecji.

Doktór Schweitzer, nieco cierpiący, zredagował tradycyjną mowę nowoprzyjętego członka w ciągu ostatnich dni. „W Lambaréné nie było czasu... cała moja dokumentacja została w Alzacji... Problemy etyki interesują mnie od lat studenckich..."— oświadczył.

Mimo tych zastrzeżeń, zgromadzenie miało okazję usłyszeć bardzo głębokie opracowanie tematu: „Problem etyki w rozwoju myśli ludzkiej", które wypełniło cały porządek dzienny. Jako moralista i jako historyk doktryn etycznych nowy akademik tak zdefiniował swój pogląd na istotę etyki: „Nasze dobre ustosunkowanie się do samych siebie i do innych istot".

Doktór Schweitzer pozostał jeszcze około dziesięciu dni w Paryżu, dopilnował wysyłki lekarstw do swego szpitala i powrócił do Afryki. Jest to jedna z najbardziej świetlanych postaci naszego stulecia — i najciekawszych ponadto. Mistrz gry na organach i wielki ich znawca, nieporównany odtwórca Bacha, teoretyk zagadnień etycznych na miarę światową i wreszcie lekarz, założyciel i kierownik szpitala w sercu Afryki, w Lambaréné, gdzie codzień wprowadza w czyn swoje zasady. Protestant z wyznania, jest dla nas przecież przykładem czynnej miłości bliźniego.

WYDAWNICTWA STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH

Ceny zniżone od 25 do 70 proc.

Adam Mickiewicz: POEZJE WYBRANE, przedmowa **Jana Lechonia**, wybór **Wiktora Weintrauba** 3/6
Adam Mickiewicz: SŁOWA DO EMIGRACJI I SŁOWA DO EUROPY, wybór publicystyki w opracowaniu **Tymona Terleckiego** 3/6
Bolesław Prus: NOWELE WARSZAWSKIE, przedmowa **Wacława Grubińskiego**, wybór i posłowie **Marii Danilewiczowej** 7/6
Bolesław Leśmian: ŁĄKA I TRAKTAT O POEZJI 1/6
John Keats: ODY, przekład **Stanisława Balińskiego** 2/6
Kazimierz Wierzyński: KRZYŻE I MIECZE 3/6
Marian Hemar: LATA LONDYŃSKIE 1/-
Tymon Terlecki: POLSKA A ZACHÓD. Próba syntezy (trzy wydania) 1/-
Stanisław Baliński: WIERSZE ZEBRANE (1927-1947) 7/6
Wacław Grubiński: O LITERATURZE I LITERATACH (zbiór szkiców) 4/6
Antoni Bogusławski: STRUNY NA DRZEWACH (poezje) 1/-
LITERATURA A POLITYKA. Wolne opinie (**Wacław Grubiński, Józef Kisielewski, Marian Emil Rojek, Wiktor Sukiennicki, Jan Ulatowski, Tymon Terlecki, Stefania Zahorska**) -/6
Wacław Grubiński: MIĘDZY MŁOTEM A SIERPEM (wspomnienia z Rosji) 9/6
Ignacy Wieniewski: POWRÓT NA VIA APPIA, studia i szkice z przedmową **Tymona Terleckiego** 5/6

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach polskich.

SKŁAD GŁÓWNY:

VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

STANISŁAW KOŚCIAŁKOWSKI

W PÓŁTORAWIEKOWĄ ROCZNICĘ URODZIN

O. MAKSYMILIAN RYŁŁO

(1802 — 1848)

W grudniu r. b. upływa 150 lat od urodzenia o. Maksymiliana Ryłły. Zbliżyły z postacią Ryłły cząstkę obecnego uchodźstwa polskiego lata, spędzone w Libanie, gdzie czynny jest dotychczas katolicki Uniwersytet św. Józefa, będący najtrwalszym pomnikiem jego wysiłków. Nie brak wszakże i w Libanie i gdzie indziej licznych innych śladów jego kipiącej energii, talentów, miłości Boga i bliźniego, które uczyniły z o. Ryłły jednego z najzasłużeńszych misjonarzy oraz działaczy religijnych, społecznych i kulturalnych.

Urodził się o. Maksymilian Ryłło 31 grudnia 1802 roku w Podorosku koło Wołkowyska (na ziemiach dawnego W. Księstwa Litewskiego), jako syn ekonoma z sąsiednich Monylowców, Józefa Bychowca. Nauki szkolne pobierał zrazu w szkole powiatowej w Łyskowie, a następnie w „Akademii" oo. jezuitów w Połocku, cieszącej się w latach 1812-1819 znaczną wziętością w Kraju i w pewnej mierze w latach tych usiłującej współzawodniczyć z Wszechnicą Wileńską. Odbywał później studia na wydziale lekarskim Uniwersytetu Wileńskiego, wszakże przez rok tylko jeden, gdyż, idąc za powołaniem, w roku 1820, wraz z wygnanymi z granic państwa rosyjskiego, ukazem z dnia 13 marca tego roku, jezuitami, na wpół legalnie uszedł z Kraju, którego już nigdy nie miał oglądać, za granicę, do Rzymu. Tu, po odbyciu nowicjatu i studiach teologicznych, pełniąc różne funkcje zakonne, otrzymał wreszcie upragnione święcenia kapłańskie w roku 1833.

Zasłynął w Rzymie ze swoich kazań, które miewał na ulicach miasta, jako tzw. „praedicator in platea" — kaznodzieja uliczny dla przygodnych słuchaczy i przechodniów, nie uczęszczających do kościoła, jak i z nauk rekolekcyjnych dla młodych artystów. W tych naukach, mówiąc o istocie piękna, „umiał zbliżyć do Boga młody rzymski świat pędzla, ołówka i muzyki". Pracował też z zaparciem siebie wśród więźniów, których umysły i serca tak sobie podbił, że za zezwoleniem zwierzchności więziennej na zakończenie prowadzonych przez siebie rekolekcji, wyprowadził prawie bez straży około 1.300 więźniów rzymskich z pielgrzymką do tzw. „Świętych schodów" — La Scala Santa — i z powrotem do więzienia, przy tym żaden z więźniów nawet nie próbował ucieczki. „Było to zaprawdę zdarzenie niezwykłe — stwierdza jeden z historyków jezuickich, o. Narbone — szereg nieskończony przestępców szedł we dwójkach ze skromnością nowicjuszów zakonnych, w ubraniu więziennym, z oczami, skruchą załzawionymi, za księdzem Ryłłą, donośnym głosem odmawiającym modlitwy. Cały Rzym wyległ na oglądanie tego widowiska niezwykłego, jakiego nie znano w historii. Przyglądał się mu nawet sam papież Grzegorz XVI i kardynałowie..."

Nie zadowalała jednak o. Ryłły praca duszpasterska w Rzymie. Pragnął on — jak powiada kronika kolegium rzymskiego oo. jezuitów — „za natchnieniem łaski Bożej" przyjść z pomocą ludom Wschodu „do zdobycia wiecznej szczęśliwości". „Chciwy chwały Bożej i zbawienia dusz" rozpoczyna w r. 1836 swą działalność misyjną na Wschodzie. Rzuciwszy w Rzymie pierwszą myśl założenia „gdzieś na Wschodzie" zakładu naukowego — Centralnego Kolegium dla Azji, udaje się o. Ryłło, na skutek zarządzenia zwierzchności zakonnej, w r. 1836 na Wschód. Ten pierwszy pobyt w krainie podlibańskiej (Bejrut i okolice) od września 1836 do grudnia 1837 — połączony był z paromiesięczną pielgrzymką do Ziemi Świętej i Jerozolimy, tudzież z kilkumiesięczną podróżą misyjną przez Damaszek do Mezopotamii, aż do Mosulu, celem naocznego poznania u źródła stosunków kościelnych miejscowych, zwłaszcza wśród chaldejczyków-katolików.

W misji tej o. Ryłło i jego towarzysze zjednali sobie serca wszystkich i znakomicie się przyczynili do załagodzenia panujących tam zadrażnień.

Ryłło miał jeszcze czas na to, by wyzyskać ową „expeditio Babylonica" — jak ją nazywał — dla poszukiwań i celów archeologicznych. Wyniki jego prac w tym kierunku dotychczas oglądać można w tzw. „Museo Profano" przy bibliotece watykańskiej w Rzymie, gdzie w osobnych gablotach przechowywane są dary archeologiczne przez o. Ryłłę w r. 1838 złożone. Zjednały mu one godność członka akademii archeologicznej papieskiej, jako jednemu z pierwszych pionierów archeologii orientalnej.

Pamiętny też był ten pierwszy pobyt o. Ryłły na Wschodzie przez spotkanie „w nadchmurnym klasztorze libańskim" ze Słowackim, który to spotkanie i spowiedź swoją na Wielkanoc r. 1837 opisał w liście do matki.

O. Ryłło utwierdził się, poznawszy bliżej stosunki w Azji, w przeświadczeniu o konieczności założenia na Wschodzie „Collegium pro Asia". W tym właśnie celu w r. 1838 przybył do Rzymu, by dla swej myśli wyjednać aprobatę i poparcie oraz złożył szczegółowy memoriał w tej sprawie do Kongregacji Propagandy. Miał to być wielki zakład naukowy dla Syrii (wraz z Libanem) i Palestyny, dla Persji, Chaldei, Armenii, Arabii i Egiptu. Gwałtowną potrzebę takiego zakładu odczuwano w tych krajach. Za miejsce najwłaściwsze dla ufundowania zakładu uważał Ryłło bądź nadmorski Bejrut, bądź też Aleppo, z którego przez bliski Eufrat można było względnie łatwo nawiązać połączenie z Indiami.

Jakoż Ryłło zdołał pokonać wszelkie przeszkody i na osobistej audiencji uzyskał od papieża Grzegorza XVI zatwierdzenie swych planów. Po półtorarocznym pobycie w Wiecznym Mieście przybył ponownie w r. 1839 do Bejrutu, tym razem jako zastępca delegata apostolskiego i superior misji oo. jezuitów. Zastał tu stosunki jak najgorsze dla sprawy założenia kolegium, na skutek wybuchu wojny egipsko-tureckiej, właśnie o panowanie nad Syrią i Libanem. Wśród pożogi wojennej i krwawego powstania ludności chrześcijańskiej Libanu przeciwko uciskowi wojsk egipskich, o. Ryłło niósł pomoc głodnym, bezdomnym i chorym, wpływem swoim bronił odważnie skazanych i uwięzionych, zyskując sobie powszechną miłość i szacunek wśród miejscowej ludności arabskiej, która go „Abuna Mansur" — „potężnym ojcem" — nazywała. Jednocześnie, pokonywując piętrzące się dokoła trudności, które wypływały między innymi z intryg i powikłań dyplomatycznych, będących skutkiem wojny egipsko-tureckiej i współzawodnictwa na jej tle francusko-angielskiego, doprowadzał do skutku największe dzieło swego życia: Centralne Kolegium Azjatyckie w Bejrucie. W listopadzie 1841 roku zakład ten został już w zasadniczych liniach u r u c h o m i o n y...

Gdy jednak to nastąpić miało, główny twórca kolegium bejruckiego, o. Ryłło, na polecenie swej zwierzchności zakonnej, przekazał swój urząd i zakład jezuicie francuskiemu o. Planchetowi, sam zaś zmuszony został Bejrut i pieszczone swe dziecię: „Collegium pro Asia", które pierwsze dopiero kroki stawiać miało, — o p u s z c z i ć. Czynił to z bólem serca, z pewnością, ale bez goryczy. „Deus est in Syria et Deus est alibi" — pisał po chrześcijańsku. Stało się to skutkiem tego, że Ryłło w sprawach utworzenia kolegium zwracał się o pomoc nie tylko do pośrednictwa francuskiego, ale i angielskiego, a ministerstwo francuskie strzegło zazdrośnie wpływów swoich na Środkowym Wschodzie i niechętne było Ryłle. Dzieło atoli, przez o. Ryłłę zapoczątkowane, n i e u p a d ł o: owszem, rozwinąć się miało w rozłożyste drzewo, owoc wydało stokrotny i owocuje po dziś dzień, jako katolicki francuski Uniwersytet św. Józefa w Bejrucie.

„Kto bezstronnym okiem dzisiaj patrzy na kwitnący Uniwersytet św. Józefa w Bejrucie — pisze biograf o. Ryłły ks. Czermiński — niepodobna, aby nie rozpoznał w nim przeprowadzenia ogólnego planu Kolegium dla Azji lub Seminarium Gregoriańskiego dla Azji, jak je chciał nazwać o. Ryłło". Zamierzenia dawne o. Ryłły znalazły całkowity dla siebie odpowiednik i urzeczywistnienie w fundacji szkolnej w Bejrucie. Nawet w niej obserwatorium astronomiczne powstało w r. 1910 i księgarnia i biblioteka orientalna, wedle planu dawnego. Jedna tylko nastąpiła tu zmiana: głównym językiem obowiązkowym został w całym zakładzie nie włoski, jak przewidywał Ryłło, lecz francuski.

Ale nie tylko Uniwersytet św. Józefa w Bejrucie jest żywą pozostałością usiłowań i prac Ryłły w Libanie. Liban posiada i inne jeszcze po nim pamiątki. Oto dzięki jego zabiegom wykonany został we Włoszech pod kierunkiem artysty malarza Podestiego przez jego ucznia i przywieziony na Liban piękny obraz Matki Bożej. Umieszczony w kaplicy kościoła oo.jezuitów w Bikfaj (pod Bejrutem) doznaje wielkiej czci pod nazwą Matki Boskiej Wyzwolenia („Notre Dame de la Délivrance"), a Bikfaja stała się miejscem pobożnych pielgrzymek ludności katolickiej wszelkich obrządków w Libanie.

Prócz tego, za swojej ostatniej bytności w Bejrucie w r. 1847, pamiętając o potrzebie wychowania dziewcząt tamtejszych, sprowadził tu i zainstalował siostry ze Zgromadzenia św. Józefa („Les Soeurs de St. Joseph de l'Apparition"), które od stu lat z górą prowadzą bardzo znany w Bejrucie zakład naukowy dla dziewcząt i mają poza tym kilka domów zakonnych w Libanie i na Wschodzie. Toteż nic dziwnego, że pamięć zasług ks. Ryłły jest dotąd żywą w kołach uświadomionej kulturalnie inteligencji libańskiej. Uniwersytet św. Józefa zgromadzenia oo. jezuitów bejruckich w r. 1950 opublikował

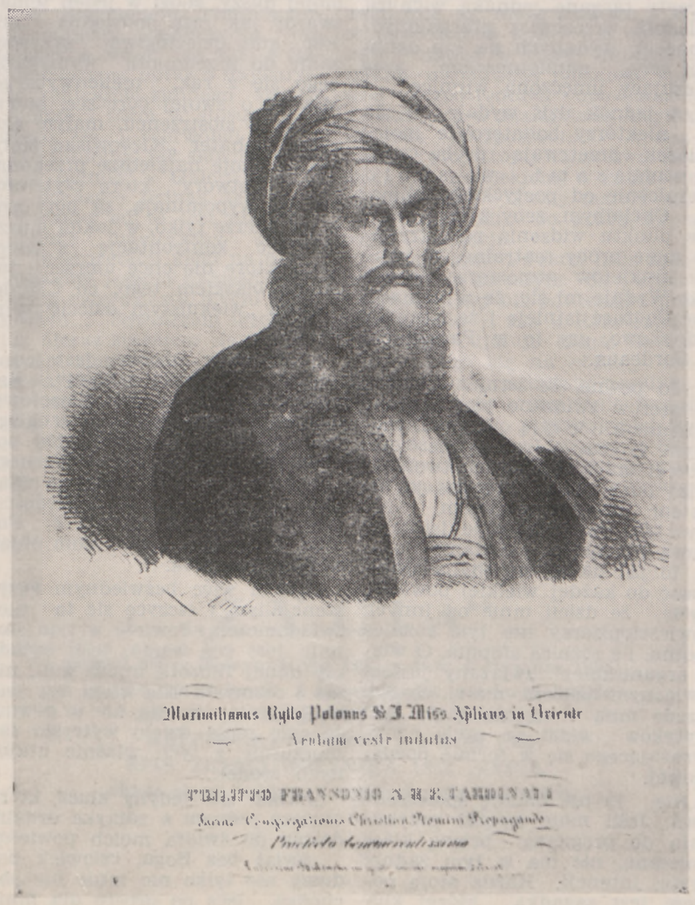

w języku francuskim piękną monografię, poświęconą ojcu Rylle, jako początkodawcy swemu, pióra przebywającego w Bejrucie ks. prof. Kamila Kantaka. Zaś w setną rocznicę śmierci Ryłły, w r. 1948, w okresie pobytu licznej rzeszy wygnańców polskich w Libanie, staraniem Poselstwa Polskiego (Liban dotąd uznaje Prezydenta i Rząd Polski w Londynie), w przedsionku głównego gmachu uniwersyteckiego, przed wejściem do kościoła uniwersyteckiego św. Józefa, umieszczona została pamiątkowa tablica z marmuru, z następującym napisem.

In memoriam
R. MAXIMILIANI RYLLO S.J.
1802 - 1848
Missionis in Libano et Syria
Superioris qui Colegii Asiatici
Berytensis
initia dedit
ideoque Universitati St. Joseph
fundamenta jecit

* * *

Viri clarissimi
virtutes — labores — merita
commemorantes
longe a Patria
concives Poloni ad Libanum
degentes anno mortis centesimo
marmoream hanc tabulam
posuere
A.D. 1948

* * *

Po odjeździe swoim z Libanu ks. Ryłło bawił zrazu (grudzień 1841—wrzesień 1843) na Malcie, pracując nieustannie, spowiadając po dziesięć godzin dziennie, głosząc płomienne kazania, projektując założenie kolegium jezuickiego na Malcie, co później istotnie urzeczywistnione zostało.

Następnie — od września 1843 r. do czerwca 1944 — odbył iście apostolski pochód po Sycylii, zyskując sobie nadzwyczajny rozgłos i wziętość swymi rekolekcjami, konferencjami i kazaniami, których w ciągu niespełna ośmiu miesięcy wygłosił z górą 360. Wszędzie budził podziw i zachwyt jako kaznodzieja: w Palermo, Mazzara, Marsala i gdzie indziej. Oto urywek jednego z licznych sprawozdań o kazaniach o. Ryłły — „Padre Grillo" — jak go nazywano na Malcie i na Sycylii: „Od pierwszego do ostatniego dnia Nowenny, podczas której kazał o. Ryłło, w olbrzymiej świątyni o pięciu nawach, panował taki ścisk, że nie było miejsca wolnego, aby odetchnąć... Przybyli nawet ci, którzy nigdy nie uczestniczą w tego rodzaju nabożeństwach. Im bardziej zgnieciony był tłum, tym więcej godne jest podziwu milczenie, uwaga, skrucha powszechna ludu, który zwykł napełniać te same świątynie nieokrzesanym szmerem, a nawet przerywać głos kaznodziei".

Zaprawdę, prawdziwego ducha Bożego i coś niezwykłego zawierać musiały w sobie kazania Ryłły, skoro taki efekt apostolski i uwielbienie jednomyślne wywoływały. Z najwyższym uznaniem mówią o nich wszyscy, którzy mieli sposobność zetknąć się z o. Ryłłą i być jego słuchaczami. Unosi się nad nimi o. Manswet Aulich, reformat, który spotkał się z Ryłłą na Wschodzie. „Przyznam, — pisze — że kaznodziei, z podobnie porywającą i przekonywającą wymową, nie słyszałem, i cały dzień mile by się takiego mówcy słuchało". Chwali wymowę „niewyszukaną" Ryłły, jego „głos serca", połączony z „głęboką znajomością ludzi" i „jakąś dziwną rzewnością" ks. Ignacy Hołowiński, późniejszy arcybiskup mohylewski. Ks. Hieronim Kajsiewicz, zmartwychwstaniec, podnosi moc przekonywającą tego kaznodziei, który odznaczał się „gorącą prostotą", a jednocześnie był, [illegible] drugi Skarga, „tyranem dusz ludzkich". Z entuzjazmem mówi o nim Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

Kazań swoich Ryłło nigdy nie pisał. Były zawsze krótkie i głęboko przemawiały do serca. Posiadał Ryłło języki: włoski (i maltański), łaciński, arabski, francuski, angielski, polski i w każdym z nich mógł kazać. „Rzadkie były jego zdolności umysłowe — tak charakteryzuje go jeden ze współczesnych — dziwną miał pamięć, wystarczyło mu coś raz przeczytać, aby się tego nauczył... Ścisłym był w przestrzeganiu zwyczajów zakonnych, budującym w zewnętrznym ułożeniu, gardzącym światem i sobą, stawał się drogim i miłym tak osobom zakonnym, jak i ludziom świeckim, z którymi obcował. Umartwienie było dlań rzeczą tak naturalną, że oddawał mu się jakby z potrzeby: sypiał na deskach, wstrzymywał się od wykwintniejszych potraw, ubierał się lekko w czasach najzimniejszych. A czynił to wszystko z prostotą i naturalnością".

Nic dziwnego, że o. Ryłło z takimi zaletami i w uznaniu zasług położonych odwołany został w czerwcu 1844 r. do Rzymu i mianowany r e k t o r e m słynnego C o l l e g i u m U r b a n u m, będącego w zawiadywaniu Kongregacji Rozkrzewienia Wiary (Propagandy) w Rzymie, założonego w r. 1627, które zajmuje pierwsze miejsce wśród zakładów naukowych Kościoła dla kształcących się misjonarzy świata całego. Pozostał o. Ryłło na tym stanowisku przez lat dwa, równocześnie oddając się pracy kaznodziejskiej, jak zawsze z powodzeniem.

Jeżeli zawsze brał gorąco do serca sprawy polskie, to zwłaszcza teraz. Gazet i książek polskich pilny czytelnik, bolał nad niedolą rodaków w Kraju i na obczyźnie. Zbierał wciąż składki na rzecz wygnańców polskich, podnosił konieczność założenia kolegium polskiego dla kształcenia kapłanów polskich w Rzymie. Przejął się szczerze sprawą „matki Makryny Mieczysławskiej", i drukiem ogłosił w r. 1846 broszurę w języku francuskim z jej zeznaniami, tłumaczoną na angielski i niemiecki.

Za rektorstwa o. Ryłły w Collegium Urbanum, wielkim wydarzeniem w Rzymie był przyjazd w grudniu r. 1845 cesarza Mikołaja I i przyjęcie tegoż przez papieża. Wiemy, że o. Ryłło na kolanach błagał papieża, „by się mężnie wstawił za kościół polski". I rzeczywiście, temu należy może przypisać, że stojący już nad grobem papież Grzegorz XVI ujawnił wówczas większą, niż kiedykolwiek przedtem, nieufność i nieugiętość wobec polityki rosyjskiej w stosunku do spraw Polski i Kościoła.

Prace rzymskie w latach 1844-46 nie były ostatnimi pracami Ryłły. Już niegdyś kilkakrotnie wskazywał on na doniosłość akcji misyjnej w krainach afrykańskich, zwłaszcza nad górnym Nilem i w Afryce centralnej. W końcu r. 1845 zapadła uchwała Kongregacji Propagandy o utworzeniu wikariatu apostolskiego dla centralnej Afryki. Do wyprawy afrykańskiej, z urzeczywistnieniem idei tej związanej, przeznaczony był o. Ryłło nie tylko jako inicjator sprawy, ale i jako znawca Wschodu i języka arabskiego. W październiku r. 1846 opuszcza Rzym, po drodze zawadza o umiłowany Liban i Bejrut, po czym przez Aleksandrię, wraz z kilku towarzyszami, już jako „prowikariusz apostolski na Środkową Afrykę", udaje się w dalszą drogę. W Kairze zachorował na ciężką dezynterię. Nie wyzdrowiawszy jeszcze całkowicie, by nie odwlekać rozpoczęcia właściwych prac misyjnych, we wrześniu r. 1847, wraz z innymi, wyruszył ku miejscu przeznaczenia.

Podróż odbywano częściowo na łodziach i tratwach w górę Nilu, częściowo zaś omijając katarakty niłowe, na wielbłądach, w dzień wśród strasznego upału, nocami — w przejmującym zimnie. O. Ryłło tak był wyczerpany, że musiano go przywiązywać do wielbłąda. W C h a r t u m i e stanęła wyprawa misyjna dopiero 11 lutego r. 1848. O. Ryłło „Stał już wówczas u bram śmierci". Pomimo to gorliwie zajął się sprawami misji, założył podwaliny pod jej fundację, założył kaplicę i dom misyjny, zjednał sobie w ciągu krótkiego czasu tak wielkie uznanie u ludzi miejscowych, że nazywano go przyszłym „Odrodzicielem Sudanu", marzył o powstaniu n o w e g o P a r a g w a j u na gruncie Afryki Środkowej, z wolnością Murzynów, z dala od trosk przyziemnych, hałasów i zawichrzeń europejskich...

Gasł wszakże z dniem każdym w oczach. Dnia 17 c z e r w c a r. 1848 o d d a ł B o g u d u c h a, ku bezmiernemu żalowi współbraci misyjnych, otoczony aureolą świętości, „wielbiąc Pana, że go wybrał na pierwszą ofiarę jego drogiej misji".

Pochowany został w Chartumie, skąd w pół wieku z górą później szczątki jego przewiezione zostały do Egiptu i złożone we wspólnym grobie zakonnym na cmentarzu Matarieh pod Kairem. Na grobowcu, wśród innych nazwisk, widnieje imię o. Maksymiliana Ryłły. Powinienby, obok niego, położony być napis: „Qui nunquam quievit, quiescit", o zgonie zaś jego tak przedwczesnym powiedzieć by można słowami św. Ambrożego: „T a n t u s r e c e s s i t s e d n o n t o t u s r e c e s s i t a n o b i s"...

„Był to — według słów historyka, o. Michała Jullien — człowiek, posiadający w stopniu wybitnym zalety duszy i ciała, potrzebne wielkim misjonarzom. Był to pracownik nieustraszony, niezmordowany, umiejący najczęściej pomyślnie przezwyciężać i rozwiązywać największe choćiażby trudności". Był to prawdziwy „m i l e s C h r i s t i" i apostolski głosiciel słowa Bożego... Natura niezmiernie bujna i bogata, dusza żywa i twórcza, która wszelkie sprawy życia bliźnich, a już zwłaszcza sprawy Kościoła Chrystusowego, brała gorąco do serca, ożywiana jak najlepszą wolą i całkowitym poświęceniem dla sprawy. O. Ryłło była to jednostka niezwykle uczuciowa, mniej może zrównoważona i umiejąca się liczyć z praktyczną stroną życia. Dzięki swej inteligencji, dzięki umiejętności wczuwania się w dusze ludzkie, dzięki wymowie swojej, obdarzony był łaską prawdziwego „rządu dusz" i należał niewątpliwie do n a j w y b i t n i e j s z y c h przedstawicieli ogółu polskiego w pierwszym porozbiorowym półwieczu.*)

Stanisław Kościałkowski

***) Por.: O. Marcin C z e r m i ń s k i, T.J. dwutomowa monografia p.t. „O. Maksymilian Ryłło", Kraków 1911-1912; także wymieniona w tekście wyżej cenna praca ks. Kamila K a n t a k a w języku francuskim. W broszurce mojej p.t. „O. Maksymilian Ryłło 1802-1848", Bejrut 1946, podałem prace i wzmianki biograficzne o Rylle. Także art.: „Ojciec Ryłło" — Wiadomości 31-32 (122-123) z 8.8. 1948.**

Z POEZJI ANGIELSKIEJ

G. K. CHESTERTON

Z KSIĘGI EKLEZJASTÓW

Jest jeden grzech: szarym zwać liść zielony —
Z odrazą na to z nieba słońce patrzy.
Jedno bluźnierstwo: żądać swego zgonu —
Bóg jeden wie, co chwała śmierci znaczy.

Jest jedna prawda: że pod każdym niebem
Jabłko wciąż na jabłoni będzie rosnąć.
Jedna potrzebna rzecz — wszystko potrzebne —
Reszta — to tylko marność nad marnością.

GERARD MANLEY HOPKINS

GWIAŹDZISTA NOC

Na gwiazdy patrz! Patrz! Patrz ku nieba roztoczy!
O patrz na ten ludek-ognie siedzą w górze!
Osady świateł! Kręgi cytadel u chmurze!
W dole mrok-las, diamenty jam! Elfów oczy!
Chłód sinych traw, w złocie, żywym złotem toczy!
Wiatr zbił krzew biały! Smukła topola gorze!
Na strach gołębie-płatki płyną w oborze!
Tak! Wszystko nagroda, wszystko kupić możesz.

Kup! Cień! — Co? — Modły, jałmużnę, ślub, cierpliwość.
Patrz, patrz: sad-gałęzie, w maju-raju dziwo!
Patrz! Marcem zbite żółte kropki wierzbowe!
To wszystko — stajenka; wewnątrz wstrząs. W bierwionach
Zamknięta, w tych luźno-świetlnych pulach, żona
Bóg w dom, Chrystus, matka, Jego aniołowie.

FRANCIS THOMPSON

KRÓLESTWO BOŻE

Świecie niewidzialny — widzimy cię,
Świecie nieuchwytny — dotykamy cię,
Świecie niepoznawalny — znamy cię
O, niepojęty — pojmujemy cię!

Czy ryba szuka wód w górnych lotach,
Czy w wodzie powietrza szuka orzeł —
Że się pytamy planet w obrotach,
Czy tam słyszały o tobie może?

Nie tam, gdzie wzbija się nasz drętwy duch,
Nie w mrokach, gdzie gwiazd otwory giną!
Ten trzepot skrzydeł — jeno wytęż słuch!
Bije w drzwi nasze zatkane gliną.

Anioły siedzą w pradawnych stronach —
Głaz jeno obróć i skrzydłem porusz! —
Ale twarz twoja jest odwrócona,
Nie widzisz tych przewspaniałych tworów!

Płacz, a twoją tak bolesną zgubę
(Gdy już smutniejszy nie może być los)
Rozjaśni ruch z drabiny Jakuba,
Co z Nieba zwisa aż do Charing Cross.

Tak, Duszo moja, płacz w nocnej mroczy,
Płacz, córko, uczep się Niebios rąbka —
Patrz! Po Genezaret Chrystus kroczy?
Nie! On po falach Tamizy stąpa!

Tłum. Wiesław Pisarczyk

MARIA WINOWSKA

MAURIAC I LAURY

Nikogo nie zdziwiła nagroda Nobla, którą tym razem, nie tylko dla swoich powieści, zyskał wielki, francuski powieściopisarz. W kuluarach Akademii szeptano o tym od dawna. Rzecz znamienna — bez zbytniej zazdrości. Nie wierzył w nią tylko do ostatka sam Mauriac.

Gdy wieść błyskawicznie obiegła Paryż i ze wszystkich stron świata posypały się gratulacyjne depesze, zachwycony, spłoszony Mauriac zawołał: „Żeby tylko ta cała historia nie zepsuła mi książki, którą mam na warsztacie!"

Losy ważyły się między nim, jego żarliwym tłumaczem, Graham Greene'm i hiszpańskim pisarzem, Menendez Pidalem. Ten ostatni został rychło wyeliminowany. Wybór Mauriac'a przesądził fakt, że zdaniem szwedzkiego jury, Graham Greene wyszedł z jego szkoły i jemu zawdzięcza rozmach swojego talentu: Mauriac wyzwolił mu pióro i rozwiązał skrzydła.

Jak zwykle przy tak uroczystych okazjach, wielki pisarz został wyzwany na spowiedź publiczną. Zamiast zbyć natrętów, przyjął wyzwanie. „Człowiek bez maski" — nazwał go znany krytyk francuski, Luc Estang. Trwałym osiągnięciem nagrody Nobla pozostanie we francuskiej literaturze ten krótki szkic, w którym Mauriac ujmuje siebie i własną twórczość w siec słów nabrzmiałych wzruszeniem. Tytuł brzmi skromnie: „Rzut oka na moje powieści"*). Jest to wszakże nie tylko bilans uroczysty, ale również rozliczenie sumienne z talentów, które największy Artysta oddał mu we włodarstwo. Słuchajmy.

„Czyż jest we Francji choćby jeden pisarz, którego by nie nurtowała pokusa wznowienia „Ludzkiej komedii?" Tak modne „powieści-rzeki" (romans-fleuves) nie dadzą się wytłumaczyć inaczej. Ulegałem jej również, zwłaszcza w początkach mojej kariery, aczkolwiek nie w tym stopniu, co inni. Ja również starałem się tworzyć węzły pokrewieństwa między bohaterami pierwszych moich powieści: Peloueyre, Cazenave, Desqueyroux... Miewałem nawet skrytą ambicję odtworzenia dziejów całej rodziny.

„Wzięła wszakże nad nią górę inna ambicja: pragnąłem napisać książkę, jedną, jedyną książkę, która zwolniłaby mnie od obowiązku pisania następnych. Zaczynając powieść łudziłem się zawsze, że to będzie właśnie ta książka definitywna. I wciąż musiałem zaczynać od zera, to, co było wpierw, nie liczyło się wcale. Nie malowałem fresków wielościennych, ale byłem jak ten człowiek, który postanawia całe swoje życie rozpocząć od nowa. Mówiłem sobie, że dotąd właściwie nic nie zrobiłem i że moim istotnym arcydziełem będzie ta właśnie książka, którą miałem na warsztacie, ta a nie inna... Toteż wydanie moich pism zbiorowych nie daje wrażenia ciągłości, lecz nieustannych startów. Krytycy, którzy mnie zaszczycili swoimi uwagami, podkreślają jednogłośnie, że te same rysy powtarzają się w różnych powieściach, u różnych bohaterów. Rzecz prosta: każda moja książka zrodziła się, śmiem rzec, z poronienia wszystkich innych, toteż nie zdawałem sobie nawet sprawy, że się powtarzam.

„Wynikało to z mego doświadczenia najwnętrzniejszego i najodleglejszego w czasie, lecz w ramach mego ciasnego światka. Nie uległem pokusie romansów-rzek i nie przejmowałem się zbytnio zarzutami moich krytyków, że nie maluję współczesności. Sądzę, że pod tym względem cień Balzaca nie przestaje straszyć w literackich mozgach. Rzecz jasna, tak jak inni pisarze, pragnąłbym zostawić swoim wnukom świadectwo miarodajne, lecz za żadną cenę nie chciałem malować swojej epoki od zewnątrz. I tu właśnie zaważył na mnie wpływ Prousta (którego zdaje się nie ma ani w moim stylu, ani w budowie mych książek): jego problemy pomogły mi rozwikłać moje własne.

„Albowiem właśnie Proust utwierdził we mnie i uprawomocnił przekonanie, że nic z mej epoki nie przetrwa w moim dziele, **jeśli wpierw tego nie odnajdę w samym sobie.**

„Muszę wyznać z pokorą: ciasny zasięg mego światka jest na moją miarę. Jedyna moja zasługa w tym, że nie próbowałem forsować talentu. Proust wchłonął niejako w siebie całą współczesność. Przetrawił ją w sobie i oddał nam przeistoczoną tym właśnie, co przydaje rzeczywistości kontakt z kimś potwornie inteligentnym i wrażliwym. Malując siebie nie mógł pominąć wchłoniętego świata.

„Mój świat, który w sobie znajduję, wielce różni się od jego dzierżawy. Jest to sobie taki oto mały światek, mocno ograniczony i wykraczający niewiele poza ramy mego osobistego dramatu. Wyrzucają mi to gorzko, lecz ja sądzę sam siebie dość surowo, bym odmawiał sobie prawa dopatrywania się krzywdy w zarzucie, który godzi w uczciwość mojej pracy literackiej.

„Nie znaczy to, jakoby pole moich doświadczeń było ograniczone. Opuściłem rodzinne Bordeaux w wieku 21 lat i wcześnie zetknąłem się z szerokim światem. Tu jednak muszę znowu zaznaczyć, to co z Proustem mnie spokrewnia: ja nie obserwuję, ja nie opisuję; ja tylko odnajduję. I w tym właśnie sęk: odnajduję stale ciasny i jansenistyczny światek mojego pobożnego dzieciństwa, moich trwóg i skrupułów ćwiartujących bez pardonu sumienie — i szmat ziemi, na której to dzieciństwo się rozegrało. Cóż stąd, że w wieku dojrzałym osiadłem w Paryżu i rychło wmieszałem się w krąg pięknoduchów ślizgających się po powierzchni zdarzeń, bywalec najrozmaitszych środowisk, rozchwytywany... Rzekłbyś, że zatrzasnęły się nade mną jakieś wrota, w wieku dwudziestu lat, więżąc tworzywo moich dzieł. Rzecz jasna, tu i ówdzie po drodze, doczepiałem pierwiastki zaczerpnięte z moich bieżących doświadczeń. Ale rzecz właśnie w tym: są one tylko doczepione, nie zaś związane organicznie i wytrysłe z tajemniczych głębi. Są to jeno chwyty błyskotliwe, pociągnięcia obliczone na efekt, lecz nie stanowią sedna mej twórczości, nie sięgają jej serca.

„Jak już wspomniałem, ciasny jest mój światek, ograniczony do klasy mieszczańskiej, która jest w trakcie dogłębnych przeobrażeń, a może wymiera; jedno miasto, parę krajobrazów, zagajniki sosnowe i winnice; klimat religijny, z którego dziś już nie zostało nic niemal, nawet w środowiskach katolickich; konflikty w dzisiejszych warunkach zdają się prawie niezrozumiałe — oto wszystko.

„Krytycy bynajmniej nie tają, że mój światek staje się coraz mniej interesujący i że dzieło moje przetrwa jedynie na przęsłach poezji; że na uwagę zasługuje tylko klimat moich książek, współżycie dusz i krajobrazów, burze serca i burze niebieskie, dusze i szczyty targane jednaką wichurą, spiekota wrzosowisk przepalonych słońcem, wydanych na łup ognia, jak serca namiętnościom, grad biczujący umęczoną winnicę...

„A jednak dziś wydaje mi się, że niektórzy bohaterowie moich książek przetrwają próbę czasu, że istnieją s a m i w s o b i e, niezależnie od poetyckiego klimatu. Chciałbym, żeby z tego właśnie punktu widzenia rozpatrywano moje próby teatralne. W świetle kinkietów atmosfera nie gra roli. Wydaje mi się, że w Asmodei imć Couture istnieje i że istniały jednakowo, czy to w Paryżu czy w Bordeaux.

„To pewne, że istnienie moich bohaterów związane jest z moim istnieniem i że żyją oni moim własnym życiem. Jeśli powieściopisarzem ma być człowiek tworzący świat poza sobą, wówczas ja nie jestem powieściopisarzem. Ale czyż taki świat w ogóle istnieje? Słowa Flauberta: „Madame Bovary, to ja" dadzą się chyba zastosować do każdej wielkiej powieści. Myślę, że dzieli mnie od innych powieściopisarzy nie tyle różnica istotna, ile różnica stopnia. O wiele organiczniej związany jestem z własnym dziełem, niż ci, co byli przede mną i dlatego może tylu krytyków widzi we mnie poetę, wyrażającego się w formie powieściowej.

„Nie, ja nie maluję społeczeństwa. Jeśli moje książki przykuwają do pręgierza pewną klasę społeczną, nie ma w tym żadnej skrytej intencji. Każda moja powieść jest zagadką, której kluczem jestem ja sam, trudny do odcyfrowania a jednak otwarty na przestrzał. P o d o s ł o n ą f i k c j i w y d a j ę n a p a s t w ę c z y t e l n i k ó w c a ł e g o s i e b i e.

„Ta książka wyśniona, do której sprowadzają się wszystkie inne, ta fala głębinowa wciąż jednakowa, wzbierająca z nieodeszłego dna mojej duszy, godzi w jeden temat, twardy jak rafa podwodna: miłość, kult dzieciństwa, przywiązanie do przedmiotu wymykającego się z rąk, nieuchwytnego. Mówiąc o swojej córeczce, Marysi, czy o siostrzeńcu, małym Łukaszu, bohater „Kłębowiska żmij" wyraża moje najgłębsze przekonanie. „Potwory", które czytelnicy tak mi wypominają, są potworne w tej mierze tylko, w jakiej muszą ścierpieć konfrontację z dzieckiem, które nie chce umrzeć i jaśnieje blaskiem tego, co Claudel nazywa „wiekuistym dziecięctwem Bożym"...

„Całe moje dzieło jest jedną wielką „Pustynią miłości". Naświetla ono to, co dziś filozofowie nazywają „problemem drugiego człowieka": pożerający głód posiadania, lecz nie biernego „p r z e d m i o t u", który ja oglądam, ale p o d m i o t u niedościgłego, który widzi m n i e. Cóż stąd, że posiędę ciało? Com objął, to li tylko zewłok.

„Byłem więc bezwiednym egzystencjalistą i szczycę się tą nieświadomością. Powieść w tym stopniu jest coś warta, jeśli świadczy danej filozofii mimo woli, nie zaś z rozmysłu. Nie wiem, czy jest to słabością, czy siłą, ale to pewne, że całe moje dzieło wytrysło samorzutnie z tych właśnie utajonych źródeł...

„Łaska: oto jedyny klucz, który otwiera jednym a zamyka drugim dostęp do świata moich powieści.

„Świat bez Boga, człowiek bez duszy nie tylko nic mnie nie obchodzą, lecz po prostu dla mnie nie istnieją, nie wchodzą w ogóle w rachubę. Tym się tłumaczy, dlaczego ateusze duszą się dosłownie w moich książkach. Wszak nie wierzą w istnienie głównej mojej bohaterki, utajonej we wszystkich moich aktorach, duszy grzesznej i odkupionej.

„Świętych obcowanie, to dla mnie nie tylko czcigodna doktryna, ale żywe doświadczenie. Wówczas nawet, gdy nie znają Boga, moi bohaterowie mają dusze otwarte, przez wątłe nieraz szczeliny sączy się światło, nic nie ma straconego, gdyż są wyloty ku niebu! Wszakże ich wiara, która nie jest niczym innym, jak resztą nadziei, której się nie wyrzekli, wiara ta nie daje odpowiedzi na żadne pytanie a już zwłaszcza nie rozwiązuje zasadniczego problemu, jakim jest zło.

„Eseje, w których poruszam bezpośrednio kwestie religijne, pochodzą z okresów gorętszej żarliwości, gdy większość moich powieści powstała w epokach mrocznych, zmąconych i, jak mówi Pascal, w wielkim opuszczeniu od Boga. A jednak wówczas nawet, gdy wyrosły z najniższych kręgów religijnych doznań, są naznaczone niewidzialnym znakiem, który oddala czytelników zamkniętych dla nadprzyrodzonego świata a przyciąga tych, których serce jest wrażliwe na sprawy Boże..."

* * *

Nie wiem, czy jakikolwiek pisarz zdobył się na równie trzeźwą i obiektywną ocenę własnej twórczości. I na równą pokorę. O istotnej wartości Mauriaca świadczy najlepiej ten samosąd. Jest on również rękojmią przetrwania. Jesteśmy wplątani w jedną z najradykalniejszych rewolucji, jakie przeorały dzieje. Chorobliwe przejawy heretyckich skoślawień, jak komunizm czy nazizm nie powinny nam przysłonić faktu, że Pan dziejów wekśluje oto ich tor i że stoimy na zakręcie dogłębnych przeobrażeń. I tu właśnie czai się niebezpieczeństwo.

Są ludzie, którzy wolą kryć głowę w piasku i nie widzieć tego, co jest. Lecz są inni, których odurza dosłownie coraz wyraźniej wyczuwalny start i którzy palą za sobą mosty. Prometeusze XX wieku, wiamywacze do niebieskich kaźni. Na angielskiej wyspie, sennej i statecznej, walka z tą pokusą nie przybiera rozmiarów tak gigantycznych, jak na kontynencie.

I tu właśnie zjawisko, jak Mauriac, nabiera pełnej wagi. Poprzez zmienność wydarzeń, w kłębowisku narastających struktur, broni on starej jak świat, niezmiennej i istotnej prawdy ludzkiej. Grzesznik — którego szczuje Chart niebieski. Człowiek — osaczony przez łaskę. Bóg — szukający tego, co zginęło. Chrystus w sednie wieków, stanowiący ich sens i cel. Mogą zmieniać się struktury. Może przeobrażać się nawierzchnia duszy ludzkiej, to co określa się dziś modnym słowem: mentalność. W 1953 roku człowiek jest ten sam, co w roku 1900 lub 150 naszej ery. Nie zmieniło się dno jego duszy, nie zmienił się jej głód.

„Ciasny światek" Mauriaca nie powinien nam przysłonić faktu, że wymiarem w głąb prześcignął on większość powieściopisarzy współczesnych i że wgryzł się w głębokie sztolnie duszy ludzkiej nie operując wytrychem, jak Freud, lecz wyznając, jak Augustyn, nędzę swoją Bogu. Każda jego powieść jest poniekąd publiczną spowiedzią. Nie o fakty mi tu chodzi, lecz o potencjał grzechu i łaski polaryzujący tajemniczo każdą ludzką dolę. I o tym właśnie nowy Prometeusz rad by zapomnieć. Nigdy chyba w dziejach świata pojęcie winy i odkupienia nie było zajadlej zwalczane, nigdy człowiek nie próbował konsekwentniej obejść się bez Boga. Istnieje dziś cała literatura, nie tylko w Sowietach, chemicznie wyprana z pierwiastków religijnych. Papier jest cierpliwy i słowa mogą zadawać kłam rzeczywistości.

W klimacie tak masywnych zakłamań rzetelność pisarzy takich, jak Mauriac, zakrawa na kamienie obrazy. Do białej pasji doprowadza dziś Prometeusza przypomnienie, że jest on „tylko człowiekiem". Właśnie tej wizji grzechu i łaski nie może on darować katolickim humanistom. Gra toczy się o wielką stawkę: by uratować sedno sprawy, prawdę ludzkiej duszy, nie wolno jej wiązać z czymś, co tylko przygodne, przemijające, nieistotne. Nie wolno salwować zmurszałych struktur pod pozorem, że od nich zależy Chrystusowa Prawda. Stać Boże dróżdże, by rozruszać ciasto dziejów, zarówno dziś, jak temu dwa tysiące lat!

Anachronizm małego światka Mauriaca ukazuje nam w pełniejszym świetle to, co od czasu niezależne. Zagrożoną redutę. Niezmienną w swoim dnie, zranioną lecz uleczalną, głodną i zaproszoną na Boże gody, przedziwnie wolną i stanowiącą o własnym losie — duszę ludzką. Reszta — to tylko wypadkowe.

Nie pora dziś na badania literackich wpływów Mauriaca. To pewne, że zaważył on potężnie na współczesnej literaturze. Stał oto na drodze jak monolit, który trzeba było obejść albo się przezeń przewiercić. Dlatego może rozpętywał tak krańcowe uczucia. Oficjalna literatura komunistycznych państw pieni się na sam dźwięk jego nazwiska.

Ale są też tacy, których by nie było, gdyby nie Mauriac. Graham Greene nie tai bynajmniej, ile mu zawdzięcza. On to przyswoił anglosaskim krajom dzieła Mauriaca, tak trudne do tłumaczenia. Jest zbyt wielki, by można było mówić o tanim naśladownictwie, ale w literaturze istnieje sfera tajemniczych zapładnian, wyzwalających uśpione talenty. Graham Greene karczuje własną drogę, ale w kierunku, który mu wskazał Mauriac. I dlatego może losy obu pisarzy są tak podobne i jednakie reakcje ich czytelników. Dlatego nie cierpią ich faryzeusze, a więc ci, którzy do końca wieków gorszyć się będą jawnogrzesznicą u Chrystusowych stóp, celnikiem, który go gościł, Nim Samym, że ratował do upadłego, co najzałośniej ginęło. Sarah i Teresa Desqueyroux są z tej samej duchowej rodziny.

W dzień ogłoszenia nagrody Nobla Graham Greene, jeden z pierwszych, przesłał Mauriacowi gratulacyjną depeszę tej oto treści: „A thousand congratulations. The Nobel Jury have honoured themselves". Było to więcej niż fairplay: istnieje klimat szczytów, w którym zazdrość zamiera i więdnie, jak tani chwast. Depeszą swojego rywala Mauriac cieszył się, jak dziecko.

Maria Winowska

*) **Figaro Litteraire z 15. 11. 1952.**

WIESŁAW PISARCZYK

DRAMAT ŁUŻYCKICH WENEDÓW

Zupełnie przypadkowo wpadłem na trop Smętka.

Tkwił zapomniany w pękatym woluminie religijnych pamfletów, oprawiony razem z nimi na wieczną pamiątkę prześladowań katolicyzmu irlandzkiego w czasach „penal laws". Ukrył się niepozornie w kartach poszarzałej broszury, którą imprymowała jakaś protestancka oficyna dublińska w Roku Pańskim 1727. Zagmatwał się do niepoznaki w tasiemcowym zawijasie barokowego tytułu, napęczniałego rozkosznie pretensjonalną łaciną siedemnastego stulecia. Obok łacińskiego tekstu troskliwy wydawca sprezentował wierny przekład angielski, równie puszysty i równie nadęty jak oryginał. Obydwa tytuły, łaciński oraz angielski, wyglądały jak dobrze wytresowany ukłon dworzanina, który przywykł do prawienia duserów. Gdyby je przetłumaczyć na współczesną im polszczyznę, ułożyłyby się jak napuszone kwiaty sążnistych okresów, które tak dobrze pamiętamy z epoki saskiej.

Przełożony „verbatim", tytuł ów wyglądałby następująco: „Epistoła do Jaśnie Wielmożnego J. Chamberlayne'a, od wielebnego a wielce uczonego D. Jabłońskiego, pierwszego kapelana JKM Króla Pruskiego. Tycze się instrukcyji o die Wendens, co są żyjącą w Brandenburgiji nacyją, która gada Słowiańskim językiem".

Jako że nie jestem tęgim historykiem, musiałem nieco poszperać, ażeby dowiedzieć się, z jakim Jabłońskim będę miał za chwilę przyjemność.

Bez trudu okazało się, że ów „wielebny a wielce uczony doktor" sroce spod ogona nie wyleciał. Był, po matce, wnukiem sławnego Jana Amosa Komeńskiego. Po ojcu legitymował się srogim przywiązaniem do protestanckiej reguły w jej „morawskim" wydaniu. Rodzina Jabłońskiego znalazła gościnne przytulisko w tolerancyjnej Polsce, gdzie się schroniła razem z pokaźną grupą Braci Czeskich, których rozproszyła klęska pod Białą Górą.

Daniel Ernest — bo takie są imiona Jabłońskiego — urodził się koło Gdańska w roku 1660. Po gruntownych studiach w Frankfurcie nad Odrą wypolerował się należycie w arkanach protestanckiej teologii na uniwersytecie oksfordzkim, gdzie też otrzymał tytuł doktora. Był najpierw kaznodzieją w Magdeburgu. Potem, jak jego dziad Komeński, piastował godność głowy „kościoła morawskiego" w Nysie. Wreszcie osadził się mocno na stanowisku nadwornego kaznodziei Fryderyka III najpierw w Królewcu, a potem w Berlinie. Jabłoński zasłynął jako projektodawca śmiałego (a niedoszłego do skutku) planu, który miał na celu unię protestanckich kościołów Niemiec, Anglii oraz Szwajcarii. Na tym polu, do spółki z mnożorem Leibnizem, Jabłoński rozwinął niezwykle ożywioną działalność, która nierzadko wychodziła daleko poza granice brandenburskiego elektoratu. Wystarczy powiedzieć, że znakomity teolog berliński utrzymywał wcale ścisłe kontakty z czołowymi przedstawicielami wojującego protestantyzmu w Anglii oraz w Irlandii. Prawdopodobnie z tych względów jego „List do Chamberlayne'a" wydrukowano razem ze zjadliwą broszurą protestancką niejakiego J. Richardsona, jako uzupełnienie oraz przyjazny komentarz ideowy. Ów list jest jednym z ogniw tych stosunków, w których bez trudności można wychwytać tajemnicze szacherki, szyte grubymi nićmi, a schowane starannie pod pozorami nabożnych celów. List rzuca niewątpliwe światło, że amoitni teologowie obydwu stron wymieniali między sobą traktaty, chytrze uczone dysertacje oraz dzielili się po przyjacielsku bogatymi doświadczeniami w zakresie metod, jakie należało stosować w „nawracaniu" na protestantyzm uporczywych katolików papistowskich.

Z listu berlińskiego teologa okaże się wcale niedwuznacznie, że zaprzysiężonym kontrahentom chodziło nie tylko o znalezienie najskuteczniejszej formy asymilacyjnej, ale i o to, ażeby za jednym zamachem wynarodowić obce, nieprotestanckie elementy.

Przejdźmy jednak do listu.

Na wstępie Jabłoński dziękuje dwornie za otrzymaną literaturę „propagandową". Specjalnie ceni sobie rzecz wspomnianego J. Richardsona, traktującą o sposobach nawracania papistów irlandzkich za pomocą drukowania nabożnych książek w celtyckim języku prastarej Hibernii. Słowa wielebnego Richardsona, proboszcza protestanckiej parafii w Co. Donegal, miodem musiały spływać na serce „wielebnego a wielce uczonego" kaznodziei z Berlina. Jak pokaże się ze streszczenia, w Co. Donegal działy się rzeczy zupełnie podobne do tych spraw, które zaprzątały umysł rzutkiego teologa w Brandenburgii. Doktor Jabłoński pisze, co następuje: „Teraz podam krótkie sprawozdanie o rzeczach, które — zdaje mi się — są zupełnie podobne do waszych irlandzkich spraw. Otóż żyją tutaj do dnia dzisiejszego znaczne pozostałości starożytnego narodu Wenedów (w liście: „Uenedi"), których my nazywamy die Wendens, a którzy zamieszkiwali niegdyś brzegi rzeki Wisły, a teraz mieszkają nad Odrą i Sprewą. Kraj ich zaczyna się dzisiaj około trzy mile od Berlina i biegnie stąd w dwóch kierunkach: przez Łużyce do Misni oraz przez Łużyce do Śląska. Część ich, to poddani cesarza i elektora saskiego, a część, to podwładni elektora brandenburskiego. W tej połaci Łużyc, która należy do elektora brandenburskiego, istnieje 124 wiosek sarmackich, podzielonych na 24 parafie. Poza tym więcej ich jeszcze żyje w tej części elektoratu, która rozciąga się w stronę Śląska oraz także w kilku innych miejscach. Co do liczebności tych ostatnich, jak również co do liczebności Wenedów żyjących w poddaństwie cesarza i elektora saskiego — nie posiadam dokładnych wiadomości. Ten z pochodzenia sarmacki naród mówi słowiańskim językiem i do dnia dzisiejszego z najwyższym uporem podtrzymuje jego używanie, pomimo że od wieków mieszka w pośrodku germańskiego żywiołu."

Jak widać z tej wcale dokładnej topografii, doktor Jabłoński orientuje się znakomicie w rozmieszczeniu owych „sarmackich Wenedów" oraz doskonale zdaje sobie sprawę z ich pochodzenia. Z przyczyn, sobie tylko wiadomych, ani słowem nie wspomina jednak o możliwym „pokrewieństwie", czy choćby „powinowactwie" tych tajemniczych tubylców sarmackich z narodem, który siedział jeszcze nad niedalekimi brzegami Wisły. Wielka szkoda, że uczony teolog nie interesował się bliżej zagadnieniami Sarmatów spoza swojego brandenburskiego podwórka. Rozszerzyłby wtedy swój szkic topograficzny na Słowian żyjących pod władzą cesarza i elektora saskiego.

Po tym przejrzystym wstępie doktor Jabłoński przechodzi do rzeczy właściwej — to jest do nakreślenia i scharakteryzowania metod, jakie w jego przybranej ojczyźnie stosowano celem szybszego zasymilowania mieśnieńsko-łużyckich żywiołów, które — jak okaże się z późniejszych przytoczeń — jeszcze za jego czasów posiadały wspaniałe poczucie odrębności narodowej, religijnej oraz językowej, które — choć wmieszane w pruską masę — długo jeszcze po śmierci wielebnego teologa opierały się bardzo skutecznie nowoczesnej polityce eksterminacyjnej i trwały z uporem przy tradycyjnej wierze ojców.

Doktor Jabłoński ciągnie swoje rozważania w następujący sposób: „W czasach Karola Wielkiego niektórzy z tych Sarmatów przeszli rzekę Elbę i osiedlili się w lunebURSKIM kraju. Ale że było ich niewielu, przeto ich język — jak możemy się domyśleć — tracił stopniowo grunt pod nogami i w końcu wyszedł całkiem z użycia za pamięci ojców naszych (z których niektórzy żyją jeszcze do dzisiaj)."

Oporną musiała być owa luneburska awangarda Sarmatów, skoro od czasów Karola Wielkiego do początków osiemnastego stulecia nie zatraciła swojego słowiańskiego języka. Do tych nadelbiańskich Wenedów stosowano specjalne metody, o których doktor Jabłoński pisze w sposób pośredni: „W jakiś czas potem podjęto szereg usiłowań, żeby i naszych Wenedów (czyt.: „brandenburskich") w ten sam sposób doprowadzić do nieużywania ojczystego języka. Do tego celu ustanowiono niemieckie szkoły przy każdym kościele. Większość parafii sarmackich otrzymała niemieckich pastorów, którzy nie władali słowiańskim językiem. Żeby ów niepiśmienny naród przymusić do uczenia się niemieckiej mowy, nie drukowano żadnych książek w słowiańskim języku. Ale żadna z tych metod, przyznaje szczerze Jabłoński, nie wydała pożądanego rezultatu. Szkoły, które dawały najpewniejszą nadzieję dobrych wyników, okazały się niewystarczające. Wenedowie bowiem, jako rolniczy naród, nie zamieszkują wielkich miast oraz miejskich osiedli. Mieszkają w wioskach, niekiedy daleko od siebie porozrzucanych. Stąd też dzieci sarmackie miały sporo trudności w chodzeniu do szkoły, szczególnie w zimie, która była jedyną porą roku, kiedy rodzice nie potrzebowali pomocy w gospodarstwach wiejskich. W wyniku tego stanu rzeczy — w ciągu lata dzieci Wenedów zapominały z chęcią o tym, czego niechętnie nauczyły się w ciągu zimy. A rodzice, którzy nie chcieli zmienić swego ojczystego języka na język niemiecki, potajemnie radowali się z tego."

Doktor Jabłoński nie wdaje się zbytnio w kłopotliwe szczegóły tych niefortunnych zabiegów asymilacyjnych, wyznaje jednak ogólnikowo, że główną przyczyną tych niepowodzeń był fakt, że „niektórzy niemieccy pastorzy byli barbarzyńcami w stosunku do swoich słuchaczy". Autor „Listu do Chamberlayne'a" nie mówi dokładnie, na czym polegało to barbarzyństwo pruskich „misjonarzy", dodaje jednak bardzo mglisto, że metody ich nie były popularne wśród większości Wenedów, „w szczególności zaś nie wpływały uwznioślająco na sarmackie niewiasty". Ta niezbyt umoralniająca

(Dokończenie na str. 10)

MARIAN BOHUSZ SZYSZKO

WYSTAWA HOLENDRÓW

Wystawa-olbrzym; 640 dzieł, w tym żadnej pozycji bez znaczenia i kilkaset arcydzieł; reprezentowanych 170 malarzy... wśród nich — król bezsporny, Rembrandt van Rijn, pokazany 49 dziełami z różnych okresów twórczości, Rembrandt dwudziestokilkuletni i Rembrandt po sześćdziesiątce... A nie zdarzyło mi się dotąd widzieć na jednej wystawie, naraz zgromadzonych, więcej niż osiemnastu Rembrandtów. Nie brak ani jednego nazwiska znaczącego dla tej zdumiewającej płodnością wizji holenderskiej z wieku siedemnastego (na wystawie nie ma dzieł twórców urodzonych po r. 1700). O Frans Halsie mówi 26 płócien (w tym jedno o rozmiarach monumentalnych), o Cuyp'ie — 28, o Jakubie Ruisdaelu — 25, o Hobbernie — 9, o Wilhelmie Van de Welde młodszym — 18, o Terborchu — 16, o Janie Mostaercie — 4, o Piotrze de Hooch — 12, o Hieronimie Boschu — 2, o Janie Vermeere van Delft — 2.

Lwia część obrazów z tej wystawy, zapełniających trzynaście sal ogromnego lokalu Royal Academy pochodzi z kolekcji angielskich: królewskich, lordowskich i pomniejszych śmiertelników i świadczy, jeszcze raz, o iście nieprzebranych bogactwach sztuki, które nagromadzono na tej wyspie w okresie ostatnich trzystu lat potęgi brytyjskiej.

Jakie są przyczyny malarskiej erupcji twórczej Holandii w siedemnastym wieku, erupcji ilościowo bezprzykładnej, a poziomowo dającej się porównać z XVI, XV czy XIV wiekiem w Italii — nie wiadomo. Podawane zwykle, jako racja przyczynowa, oswobodzenie obojga prowincji od jarzma hiszpańskiego i spowodowane przez to podniesienie narodowej aktywności duchowej, jest, zapewne, jak to zawsze bywa w próbach analizy ekspansji środowisk ludzkich, tylko jednym z czynników, dających się stwierdzić historycznie i wykorzystać racjonalnie w zbiorze istotniejszych przyczyn, niepoznawalnych i irracjonalnych.

W arbitralnie przyjętym, przez autora tego artykułu, podziale tendencji sztuki światowej na trzy grupy: naturalizmu, ekspresjonizmu i formizmu wizja holenderska w ogóle, a w wieku XVII w szczególności, należy w ogromnej przewadze do naturalizmu, ciaśniej: do tej jego gałęzi, którą nazwiemy realizmem. Naturalizm, w naszej definicji, jest postawą, w ramach której artysta bierze za punkt wyjścia swej wypowiedzi świat zewnętrzny i stara się podporządkować prawa swego subiektywnego widzenia pod dyktando praw, jakie ten świat zewnętrzny, w znaczeniu wizualnym, mu narzuca. Z postawą naturalistyczną wiąże się, z natury rzeczy, pokora obserwacyjna, pokora wobec natury. Jeżeli tę dyscyplinę obserwacyjną zwolnimy nieco na rzecz dowolności układu form, bezpośrednio zanotowanych w naturze, na rzecz arbitralnego operowania tymi formami przez artystę w jego kompozycjach — będziemy mieli właśnie odmianę naturalizmu, którą nazwiemy realizmem. Realizm ze swej strony może być refleksyjny i impresyjny, syntetyczny i analityczny itp. — są to odmiany postawy wewnętrznej artysty, zdeterminowane przez jego osobowość twórczą, będącą zresztą funkcją zarówno dyspozycji otrzymanych od natury, jak i czynników zewnętrznych: szkoły, środowiska, epoki...

Te dość długie rozważania przygotowawcze są zapewne, w znaczeniu psychologicznym, oddalaniem przez autora tego artykułu trudnej chwili decyzji wyboru momentów, które w znaczeniu szczegółowym trzeba na tej gigantycznej wystawie wybrać, wybrać z myślą o sensie całości... Trudno, spróbujmy.

Oba dzieła Hieronima Boscha (nr 14 i 40, lata 1480-1516), chyba największego malarza wizji holenderskiej przed wiekiem XVII, określają go raczej jako pozycję wyłomową w powszechnym realizmie tej szkoły. Bosch może być równie dobrze nazwany realistą, jak i ekspresjonistą: w sztuce jego wyraźnie występuje pierwiastek subiektywnego i uczuciowego narzucania własnych arbitralnych deformacji przedmiotom i postaciom przedstawianym, co jest właśnie postawą charakterystyczną dla ekspresjonizmu. A jednak, mimo tych ekspresjonistycznych zapędów, jest Bosch i znakomitym realistycznym obserwatorem. „Pokłon Trzech Króli" (nr 14), to jedna ze wspanialszych realizacji tego tematu w wizji północnej Europy. Cóż za kontrast twarzy uduchowionej Madonny i brutalnych, w zmysłowym prymitywizmie, i królów i pastuszków! Wszystko związane przez nieomylny instynkt kompozycyjny i w subtelnym kolorze i w rytmie mas.

Portrety Jana Mostaerta (1474 - 1555), szczególnie mały portret Maura (nr 12) należą do najlepszych przykładów tej sztuki w w. XVI w Holandii (gdy portret był bez porównania rzadszy, niż 100 lat później)!

Rembrandt na tej wystawie wymagałby osobnej monografii. Gdy się widzi takie dzieło jak „Judasza oddającego srebrniki" (nr 37), datowane w r. 1629, a więc gdy mistrz miał 23 lata, uświadamia się nagle bezpodstawność zdania tyle razy słyszanego i, co gorsza, przezemnie wypowiadanego, że gdyby Rembrandt umarł przed 35 rokiem życia, byłby tylko jednym z wybitnych malarzy holenderskich w w. XVII. Nie! Już przed dwudziestym piątym rokiem życia przerastał on otoczenie o głowę, chociaż w ostatnich piętnastu latach życia stanął na wyżynach, które w znaczeniu poziomu zostały osiągnięte przez jednostki, na przestrzeni malarstwa ogólnoludzkiego, nie liczniejsze, niż by je można policzyć na palcach jednej ręki. W tym dziele dwudziestotrzechletniego młodzieńca jest głębia formy, wiązanej kolorem i dramat światła (jako funkcji koloru) nie mniejsze, niż głębie praw duszy ludzkiej na twarzach faryzeuszów i dramatu Judasza. A jednak „Portret matki" (34), malowany przed rokiem 1640 (data jej śmierci), najstarszy z obrazów mistrza notowanych w Anglii, wzbudzający tak wielkie zachwyty publiczności, mimo nieporównanej, analitycznej obserwacji, nie ma tej bezdennej formy uogólniającej, jaką znajdziemy np. w „Portrecie Żyda" (nr 192) z r. 1651, w dziele odległym od poprzedniego o dwanaście lat pracy — i nie tylko dosłownie: symbolicznie. Do tej samej klasy dzieł, już bliskich zupełnie szczytów ostatniego dziesięciolecia twórczości Remorandta, należą „Zamyślony stary człowiek", (nr 172), z r. 1652 i „Autoportret" (nr 176), znany nam ze zbiorów lorda Iveagh w galerii Kenwood. „Portret Hendrickje Stoffels" (nr 167) z Galerii Narodowej w Edynburgu należy do serii arcydzieł malowanych po r. 1647, do których należy także „Bethsaba" z Luwru. Jest tu analogiczna budowa głębokich przestrzeni i brył w niskich, brunatno-złotawych tonacjach, a nigdy nie wychodzących poza pełny dźwięk koloru. Przykładem „luministycznych" obrazów Rembrandta jest „Człowiek w zbroi" (nr 231) z Galerii w Glasgow, obraz o najostrzejszym kontraście zimnego światła na hełmie i zbroi w stosunku do gorącego tła i czerwonej tuniki. Nie tak subtelny, jak sławny „Człowiek w hełmie" z Galerii Berlińskiej, pokazuje jednak ten obraz dostatecznie, co to jest absolutne rozumienie płaszczyzny obrazu, mimo interpretacji głębi na nim...

Należałoby jeszcze napisać o pozostałych czterdziestu pięciu Rembrandtach... Powtarzam tezę, którą już nieraz starałem się uzasadnić moim słuchaczom: Rembrandt — to największy i najdyskretniejszy w sztuce światła opowiadacz o „światłocieniu" w języku koloru: jego zagadnienia „walorowe", światłocieniowe są rozwiązywane, nawet w tonacjach najniższych, zawsze k o l o r e m, o nieprawdopodobnym bogactwie (choć nie zawsze — przepychu). Wypowiedzi o mistrzostwie Rembrandta w zakresie światłocienia i „tonu" (wyraz dziś wyrzucony ze słownika fachowego malarskiego na rzecz „tonacji", mającej zresztą inne znaczenie) bez podkreślenia jego koloru — są zupełnym nieporozumieniem, opartym na nieuctwie, względnie na niewrażliwości. To, co powiedziano wyżej, nie wyczerpuje nawet w części twórczości tytana, najbardziej ludzkiego spośród „bezpośrednich" opowiadaczy o człowieku w malarstwie. Użyłem terminu „bezpośrednich" w znaczeniu tych, którzy tematowo zajmują się człowiekiem. W znaczeniu „pośrednim" — każdy malarz mówi o człowieku, bo pracą swoją mówi — o sobie.

I Rembrandt i Frans Hals należą w sensie szerszym do „wrażeniowców" (aby nie powiedzieć „impresjonistów"). Ale u Rembrandta „wrażenie" ujmuje całość świata, składającego się na obraz; elementy tła i przedmioty pozaludzkie grają rolę organicznie ważną w wizji całości; i bynajmniej nie tylko dekoracyjną. Inaczej u Halsa. Człowiek u niego wyczerpuje treść dramatu i komedii w obrazie, zresztą ten dramat jest prawie zawsze na granicy komedii; u Rembrandta prawie zawsze odwrotnie — i dochodzi często do tragedii. To ostatnie nie bywa u Halsa — nigdy. I Rembrandt i Hals są prekursorami postawy, która w sztuce europejskiej XIX w. oparła się na impresjonistach francuskich — ale każdy inaczej. Rembrandt był prekursorem dynamiki świetlnej przez kolor w malarstwie. Hals dynamiki figury ludzkiej przez „wrażeniową linię", która uzupełnia sens formy przez niedopowiedzenie. Przykładem tej impresji ruchu u Halsa, ruchu w wyrazie twarzy modela i ruchu w jego ciele, osiągniętym przez szeroką, prawie szkicową, mimo swej precyzji, technikę, są portrety: „Hermana Langeliusa" (48) i „P. J. Olican'a" (50). W wielkim obrazie rodzajowo portretowym „Uczta oficerów gwardii miejskiej" (60) jest Hals bardziej dekoracyjny niż głęboki i malarsko i psychologicznie. Jest natomiast, jak zawsze, niezrównanym wirtuozem techniki. Dobitność zewnętrznej charakterystyki, nie tej zresztą głębi co Rembranta, jest zawsze u niego olśniewająca.

Z pejzażystów, najwięksi w tej szkole, Jakub Ruisdael, Hobbema i Van Goyen są pokazani dziełami na ich miarę, z wyjątkiem może Hobbemy, który tu nie ma dzieła równego sławnej „Drodze z drzewami" z National Gallery. Za to Ruisdael ma cudowne, w sile nastroju i wartościach malarskich: „Drogę w lesie" (312), „Skraj lasu" (316) i typowy dla siebie „Wodospad" (314), z mistrzowskim przeciwstawieniem bieli piany wodnej i szarawych obłoków, splętych brązami skał i dyskretnymi zieleniami drzew.

Wytworne szarości Van Goyena pięknie wiążą masy północnego nieba z ziemią i wodą. Jak zauważył Józef Pankiewicz, nigdy prawie ci Holendrzy nie dezintegrują różnic walorowych nieba i ziemi, istniejących w naturze, na rzecz li tylko różnic koloru. Walor i kolor, zarówno w pejzażach, jak w innych rodzajach malarstwa holenderskiego, są zawsze zgodnie ożenione ze sobą, jak i u Wenecjan w XVI w. Tylko że tamci, synowie południa, są o tyle głośniejsi w przepychu barw, jak i słońce te barwy ewokujące, w porównaniu ze słońcem Holandii. Holendrzy mają paletę przytłumioną w jaskrawości nie tylko w porównaniu do Wenecjan, ale i nawet do swoich najbliższych braci ze szkoły flamandzkiej: proszę porównać Rembrandta z Rubensem! Natomiast powiedzonka dotyczące całej szkoły holenderskiej, że szkoła ta nie jest „kolorowa", ale „walorowa" polega na identyfikowaniu „koloru" z jaskrawością i, powtarzamy, na ogólnej ignoracji istotnego sensu tego terminu. „A może był tak nam sprzedał powiedzieć, autorze, co to jest kolor?" — zapyta ktoś z Czytelników. Niestety, nie potrafię. Jest to pojęcie elementarne, a równocześnie w języku malarskim mające znaczenie inne od potocznego. Ustala się porozumienie co do niego na podstawie wielokrotnego „patrz, oto jest kolor". W wyniku okaże się, że termin ten będzie użyty pozytywnie do wielu pysznych, jaskrawych, bogatych, ostro-kontrastowych zestawień barw, ale równie często i do skromnych, ściszonych, łamanych, nawet ubogich barw, o skalach wyraźnie ograniczonych (jak najczęściej u Remorandta, a rzadko u Rubensa — obaj wielcy koloryści); okaże się czasem, że właśnie „bogate" pozornie zestawienia będą przykładem zupełnej kakofonii i bezsensu barwnego (taki przykład można np. było widzieć niedawno w sąsiednich salach Akademii u Brangwina). Stwierdzanie koloru w obrazie i reakcja na niego, jest oczywiście funkcją zarówno dyspozycji naturalnych, jak i kultury. Pytanie, czy te dyspozycje naturalne nie prowadzą do ocen zupełnie obiektywnych, jest równoznaczne z pytaniem, czy muzykalność wrodzona nie prowadzi do reakcji subiektywnych w ocenie utworów muzycznych. Rola „muzykalności" i kultury nabytej dla reakcji na muzykę jest taka sama, jak rola wrażliwości barwnej i kultury nabytej dla reakcji na malarstwo.

U Holendrów siedemnastowiecznych widzenie zdaje się być związane z dotykiem. Realizm ich jest tak zmysłowy, malowanie tak organicznie związane z radością wiedzy praktycznej o przedmiocie przedstawianym, że ich materja malarska zdaje się być w bezpośrednim związku z materią malowaną, a kształty na obrazie, np. kwiaty, owoce, jarzyny, ryby, naczynia, całe wnętrza wydają się być pierwowzorem rzeczywistości, która do nich, do tych tworów malowanych, jak do pierwotnych idej platońskich, stara się dociągnąć. Ten zmysłowy, prawie brutalny, materializm uderza przede wszystkim w niezliczonych martwych naturach i kwiatach, zdaje się być bardziej umiarkowany w marynistyce, powraca z całą siłą w scenach rodzajowych, pejzażach z bydłem i wnętrzach.

Tacy malarze, jak Willem van de Velde młodszy, lub Jan van de Capelle, razem ze wspomnianym już Van Goyenem i setką innych, nie dających się pominąć, stworzyli właściwie europejskie malarstwo marynistyczne. Ruisdael, Hobbema, ten sam Van Goyen i Cuyp, na równi z Claude Lorraine'm leżą u podstaw nowoczesnego pejzażu.

Nie ma sobie równych plejada zaciekłych obserwatorów intymności wnętrza z Gabrielem Metsu, Piotrem de Hooch, Mikołajem Maes i ich wodzem, Janem Vermeerem z Delft, którego dzieło nie da się przychylić w żadną stronę granicy, oddzielającej syntezę od analizy w malarstwie. Jest tu miłujący obiektywizm, dociągnięty do szczytu wyrafinowania i subtelności malarskiej. Gerard Terborch podkreśla z pasją, że lśnienie atłasu jest dla niego nie mniej ważne od treści sceny figuralnej, którą właśnie pokazuje: to ona, ta scena, jest pretekstem, aby atłas sukni był namalowany. Z wyjątkiem Rembrandta i może Halsa, materia u siedemnastowiecznych Holendrów ma zawsze prym przed duszą — jako temat. Nie wyjawia również ta sztuka tęsknot metafizycznych. A przecież, jak i dzieło ich praprawnuka, Van Gogh'a, który umiał głosić chwałę Stwórcy, malując krzesło kuchenne, siedemnastowieczne malarstwo holenderskie mówi o rzeczy wiecznej: że Bóg stworzył twórcę-człowieka na obraz i podobieństwo własne.

Marian Bohusz Szyszko

NASTĘPNY NUMER

„ŻYCIA"

pojawi się w Nowym Roku 1953 z datą 4 stycznia 1953 i oprócz normalnych 4 stron druku zawierał będzie jako bezpłatną premię dla Czytelników KALENDARZ ŚCIENNY NA ROK 1953. SPIS TREŚCI ROCZNIKA 1952 „ŻYCIA" ukaże się w jednym z numerów styczniowych.

MARIAN HEMAR

LIST DO REDAKCJI „ŻYCIA WARSZAWY"

Pismo "Życie Warszawy"
Ogłasza konkurs otwarty
Na nazwę nowego placu.
Szeroko rozpostarty

Plac — reprezentacyjny —
Ma być ośrodkiem nowej
M D M: "Marszałkowskiej
Dzielnicy Mieszkaniowej",

Więc powinien mieć nazwę
Majestatyczną, dźwięczną,
Propagandowo praktyczną
I politycznie zręczną,

A przy tym przemawiającą
Najprościej, najwyraźniej
Do polskich serc i do bystrej
Warszawskiej wyobraźni.

W chórze projektów — bo chyba
Ogromny odezwie chór się —
Niech i mój głos nieśmiały
Weźmie udział w konkursie.

Wszak to konkurs powszechny.
Powszechna byłaby heca,
Gdybym ja wziął nagrodę.
Tak mnie ta myśl podnieca,

Że z miejsca, jakby ptasią
Rozświegotaną chmurą,
Moc wybornych projektów
Ciśnie mi się pod pióro.

*

Projekt pierwszy: Ta nowa
Dzielnica mieszkaniowa
Niech ma w sercu PLAC LWOWSKI.
PLAC LWOWA. PLAC MIASTA
LWOWA

Wybierzcie. Trzy warianty
Podaję do wyboru,
Lecz na sam temat — nie ma
Pomiędzy nami sporu.

Bez względu na miłości
Różne, czy nienawiści,
Czyśmy czerwieńsi, czy bielsi,
Faszyści, czy komuniści —

To jedno wiemy wszyscy
Tak, jak to wiedzieć należy:
Że Lwów jest miastem polskim.
Że gwałt rosyjskiej grabieży

Ukradł je. Że to miasto,
Od wieków polskie, po wiekach,
Dzisiaj — jest za granicą,
W bolszewickich zasiekach.

Więc chyba nas nie zdoła
Spór żaden tak roznamiętnić,
Byśmy w o l e l i Lwowa
Nie wspomnieć, nie upamiętnić,

Aby w niepamięć puściły
Serca niemiłosierne
To miasto, co ma w swym herbie
Przydomek "Wiecznie Wierne".

Do dnia, w którym Lwów znowu
Będzie w Polsce — w Europie —
Wrócimy, jak gołębica
Do arki, po potopie,

Niech mu pomnikiem
w warszawskiej
Dzielnicy Marszałkowskiej
Będzie PLAC MIASTA LWOWA,
PLAC LWOWA lub PLAC
LWOWSKI.

*

Lecz gdyby wam o d r a d z i l i
Życzliwi bolszewicy
Tak nazwać plac — drażliwie —
W propagandowej dzielnicy —

Niezrażony tym, nadal
Jestem na wasze usługi.
Od razu, redaktorze,
Przedstawiam projekt drugi:

Chyba cała Warszawa
Będzie temu przychylna,
By w niej był PLAC WILEŃSKI —
Lub, powiedzmy — PLAC WILNA.

Bo jakże Warszawiakom
Nie przypomnieć o losie
Tego miłego miasta?
Wszakże to tam, na Rossie,

Śpi serce, pochowane
W cmentarnym brzozowym gaju,
Patrzcie — serce ojczyzny —
Za granicami kraju.

Sławni poeci polscy,
Którymi tak się szczycimy,
Iwaszkiewicze, Brzechwy,
Tuwimy, nie Tuwimy,

Tak wiele wiernych wierszy,
Tak natchnionymi głosy
P i e l i — na cześć tego serca
I tej brzozowej Rossy —

Oni dziś wszyscy poprą
Mój wniosek koleżeński,
Aby Warszawa miała
PLAC WILNA, lub PLAC
WILEŃSKI!

*

Ale jeśli, być może,
Towarzysze poeci
Nie poprą — z różnych względów —
Czekajcie! Mam projekt trzeci:

Niech ta nowa Warszawa,
Demokratycznie szczera,
Nazwie plac nowy PLACEM
EHRLICHA I ALTERA —

Dwóch Żydów, socjalistów.
Redaktor o nich nie wie?
Bolszewicy ich obu
Zabili. W Kujbyszewie.

Za co? Tego mordercy
Dotąd nie wiedzą sami.
Więc ich po śmierci nazwali
"Hitlerowskimi szpiegami",

Ażeby było "za co".
Ażeby było "czemu",
Aby samą śmierć jeszcze
Znieważyć zabijanemu,

Aby czuł, że umiera,
Aby u i e d z i a ł, że zdycha.
Więc może plac będzie PLACEM
ALTERA I EHRLICHA?

Może im wynagrodzi
Ich śmierć. jak sztandar podarty?
N i e, towarzysze? Nie można?
Czekajcie! Mam projekt czwarty!

*

A może plac ten uczci
Niepoliczone krzyże
Polaków, którzy w łagrach
Zmarnieli na Sybirze?

Tych matek rozłączonych
Z dziećmi, tych biednych dzieci,
I starców, i żon i mężów,
Którzy w śnieżnej zamieci,

W podbiegunowym kręgu,
Jak muchy marli, z trudu,
Z głodu, z tęsknoty, z chłodu,
Od wszy i cyngi, i brudu —

Kto zdradą zapomnienia
Spodli się i poniży?
Więc niech będzie w Warszawie
PLAC TRZECH MILIONÓW
KRZYŻY!

*

Ta cyfra niepraktycznie
Wysoka?... Redaktorze!
Mam praktyczniejszą — mniejszą!
Mam projekt piąty! Może

Do gustu wam przypadnie
Taka, na przykład, rada:
Jest ten plac — skrajem placu
Przebiega kolumnada —

Pośrodku kolumnady
Jest granitowa płyta —
Nad płytą płomień wieczny,
Jak mak ognia zakwita —

A w tej płycie litery,
Jakby głębokie rany
W granicie: "Tutaj leży
Polski Oficer Nieznany" —

Chwileczka, towarzyszu —
"Jeden z dziesięciu tysięcy,
Których w Katyniu" — chwileczka —
"Zamordowali N i e m c y".

Widzę ten plac — i kolumny —
I płomień. I na płycie
Ten napis. Redaktorze —
Czemu nic nie mówicie?

Ta zbrodnia była dziełem
Hitlerowskich siepaczy.
Wy to najlepiej wiecie.
Wy tak twierdzicie. Znaczy,

Publicznie, ku wiecznej hańbie
Morderców barbarzyńskich,
W y s a m i plac ten nazwijcie
PLACEM OFIAR KATYŃSKICH!

A na tym placu, każdy
Przechodzień, każdej chwili,
Kapelusz z głowy zdejmie,
Głowę nisko pochyli

I szepnie cicho: O, Boże,
O, sprawiedliwy Panie,
Daj ofiarom tej zbrodni
Wieczne odpoczywanie.

Ty znasz sprawców tej zbrodni.
Ty, na morderczych siepaczy —
(Na hitlerowców, rzecz jasna.
Na Niemców, nie inaczej) —

Spuść piorun strasznej kary,
Którą ważysz w błękicie.

*

No i co? Redaktorze?
Czemu nic nie mówicie?

Chwileczka! Nic nie mówcie!
Zaraz! Bo mi do głowy
Znienacka przyszedł projekt
Inny! Niezwykły! Nowy!

Lepszy, niż wszystkie inne!
Wspaniały! Tryumfalny!
Prosty — jajko Kolumba!
A taki oryginalny!

Błyskawica geniuszu,
A jedna myśl, jedyna!
Niech się ten plac nazywa:
PLAC! JÓZEFA!! STALINA!!

*

PLAC JÓZEFA STALINA!
Ot, u mnie głowa! Trzy słowa,
A w nich AUTOMATYCZNIE —
Plac skradzionego Lwowa!

Wilna zagrabionego
Podstępem i podkopem!
Plac przymierza z Hitlerem!
Chichotów z Ribbentropem!

Plac "Otwórz się, Sezamie
Zbrodni" — i już się otwiera
Plac nikczemnego zabójstwa
Ehrlicha i Altera!

Plac trzech milionów krzyży!
Szatański plac Katynia!
Sowiecka Puszka Pandory!
Plac w rodzaju naczynia,

W którym jest wszystko naraz!
Plac łez i krwi przelewu!
Plac radzieckiego piekła!
I plac Bożego gniewu,

Który się w górze — zwolna —
Jak łuk — jak łuk — napina.
A to wszytko — trzy słowa:
PLAC JÓZEFA STALINA.

*

Ach, jaka u mnie głowa!
Że też ja na to wpadłem!
No i co? Redaktorze,
Wygrałem konkurs? Zgadłem?

Już wam się oczy śmieją!
Już w oczach widzę zgodę!

Proszę mi, do Londynu.
Przysłać — PIERWSZĄ NAGRODĘ!

Marian Hemar

Biblioteka Główna UMK
300048571629

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

BOŻE NARODZENIE 1952

CZTERNASTE BOŻE NARODZENIE

Czternaście lat temu niektórzy czytelnicy dostali po pudełku ołowianych żołnierzy, a czytelniczki — wszystkie oczywiście — po małej, strojnej laleczce. Od owej chwili przeszumiało trzynaście Bożych Narodzeń złych, chmurnych, posępnych. Czytelnik ten i ów żołnierzem już się widzi, nie ołowianym, czytelniczka żywych laleczek ma po kilkoro i w ogóle wszystko się jakoś przeobróciło, jakoś przemieniło.

Czternaste Boże Narodzenie na obczyźnie. Za nami, daleko za nami zostało wszystko. Ale i czternasta choinka jest zielona, czternasta nadzieja młoda i — nawet bardziej krzepka niż poprzednia, czternaste kolędy na te same melodie śpiewane. Ba, nawet czternasta zupa, jak zawsze, grzybowa, czternasta ryba, jak zawsze, słodkowodna, czternasty deser, jak zawsze, „makiełki" albo — jeśli ktoś woli — „kutia"...

Boże Narodzenie... Aby jasność towarzyszyła każdemu słowu, które się z tą uroczystością wiąże, rzucam pod choinkę nieco objaśnień językowych zaczynając rzecz swoją od naczelnego terminu.

Ten naczelny termin, **Boże Narodzenie**, zdaje się nam wszystkim jasny i prosty, ale przecież jest w nim wątek maleńki pewien, który się domaga ujawnienia i omówienia. Chrześcijaństwo przyjęliśmy w r. 966 — za lat trzynaście z małym okładem, oby tylko nie takich trzynastych jak wojenne i powojenne, będzie już tysiąc lat. Owoż od zarania naszego chrześcijaństwa mówimy: Boże Narodzenie, nie np.: Boże Urodzenie (tak nie było nigdy!). A przecież o zwykłym dzisiejszym dziecku nie powiemy inaczej, tylko **urodziło się** i nie metrykę **„narodzenia"** spisujemy, tylko metrykę urodzenia. Prawda, lat czterysta temu można było jeszcze powiedzieć: **narodziło się** — w mazowieckim tekście sądowym z r. 1550 zeznaje ktoś o „synach Janowych" (tj. synach Jana) „z wtorej (tj. z drugiej) żony **narodzodzonych**", ale od owej chwili przewiało już czterysta lat. Powie ktoś, że jednak przecie i dziś, nawet o zwierzętach, można użyć tego czasownika z przedrostkiem **na-** i powoła się na Słownik wileński: **„Narodziło się** tego roku więcej byczków niż cieluszek", ale mu odpowiem, że wchodzi tu w grę zasadniczo inne znaczenie: „rodząc się kolejno, urodzić się w wielkiej liczbie". Powie ktoś inny, że przecież gdy człowiek jakiś czuje się znakomicie, mówimy o nim „jakby **się** na nowo **narodził!**", ale i to mu odrzucę mówiąc, że mamy tu do czynienia — jak bardzo często w zwrotach tradycyjnych — z resztkową skamienieliną archaiczną. Bo **narodzić się** w znaczeniu „urodzić się" i **narodzenie** stały się słowami sakralnymi, świętymi i tylko Bogu służą. To zwężenie i uświęcenie dokonało się już dawno: gdy zaczęło się panoszyć pojęcie „dobrego urodzenia", wyraz szlacheckiej wyłączności stanowej, pojęcie, które dopiero w naszych czasach zasłużoną i od prawdziwego chrześcijaństwa zadaną śmiercią kona, zwężające swój zakres użycia **narodzić się** i **narodzenie** już tego nieświętego pojęcia nie objęło i wszystkie teksty mówią tylko o „dobrze urodzonych". Świętość wyodrębniła się pozastanowo i, chwała Bogu, jak najlepiej się stało.

Święto Bożego Narodzenia nazywano u nas — jeszcze się to tuła po narzeczach i w literaturze — **Godami**. Pisze siedemnastowieczny karpatczyk (w Karpatach mieszkał!) Wacław Potocki: „Boże Narodzenie — po naszemu **Gody**". Nie było to oczywiście tego wyrazu znaczenie pierwotne. U pradawnych, pogańskich jeszcze Słowian, zanim się byli rozpadli na dzisiejsze, poszczególne słowiańskie narody, **god** miał znaczenie „czasu określonego" lub „czasu stosownego, tj. pory". U Rosjan przyjął znaczenie „roku". U nas porzucił liczbę pojedyńczą całkowicie (jak to niekiedy czynią nazwy świąt dla wielości dni lub obrzędów) i jako **gody** ustalił się w kilku znaczeniach, z których najwcześniejsze bodaj to „Nowy Rok": „Ona posłowica (tj. „to powiedzenie"): **od gód do gód** (prastary bezkońcówkowy dopełniacz liczby mnogiej — dziś tylko **godów**) — ma być rozumiana: do nowego lata (tj. do Nowego Roku)" — pisze Statut Wawrzyńca z Prażmowa w r. 1531. Nowy Rok — jako święto — jest niejako kontynuacją Bożego Narodzenia. Stąd odniesiono słowo **Gody**— jak pokazuje wyżej podany przykład z Potockiego — i do Bożego Narodzenia. Że nie chciało jednak zrywać związków z Nowym Rokiem, ustalonego długotrwałym obyczajem zawierania umów o pracę i o pożyczki, używano go również i na określenie całego okresu świąt zimowych, od Bożego Narodzenia do Trzech Króli, ponoć nawet aż do początków lutego. Ta chwiejność znaczeniowa i poboczne znaczenia, takie jak **gody** weselne, **Gody** w Kanie Galilejskiej, sprawiły, że słowo z normalnego użycia już jakby odeszło.

Nowy Rok obdarzył Boże Narodzenie jeszcze innym wyrazem, **kolędą**. Ten począł się w dawnym, pogańskim Rzymie. **Calendae**, często **Kalendae** pisane, słowo znane u Rzymian tylko w liczbie mnogiej, oznaczało pierwszy dzień — niekiedy także pierwsze dni — każdego miesiąca. Były np. **Kalendae Martiae** (tj. Marsowe), pierwszy dzień roku rzymskiego, święto mężatek. U Słowian łaciński wyraz przyjął się tylko na oznaczenie pierwszego dnia stycznia, tj. Nowego Roku. I u nas to znaczenie było niegdyś znane. Pisał np. Jan Tucholczyk w XVI w.: **„Kolęda** albo nowe lato (tj. Nowy Rok)". Nowy Rok wymagał podarków — przenieśliśmy więc słowo i na dary. Ale dary rozpoczyna w Polsce już dzień św. Mikołaja, 6 grudnia, a kontynuuje Boże Narodzenie. Stąd **kolęda** stała się słowem oznaczającym dary całego okresu. Że zaś **po kolędzie** chodzono przy śpiewie pieśni okolicznościowych, **kolęda** jest dziś przede wszystkim pieśnią Bożego Narodzenia.

Kolęda jest latynizmem wszechsłowiańskim. Ale **wigilia** jest tylko nasza (choć znają ją Czesi, nie wiążą jej przede wszystkim z Bożym Narodzeniem). Pradawny obyczaj chrześcijański nakazywał spędzanie nocy poprzedzających każde święto na czuwaniu, a łacińskie **vigilia** właśnie oznacza bezsenne czuwanie. Nie wszystkim Polakom się ta łacina podobała. Psałterz puławski (połowa XV w.) wolał szczerze polskie **czucie**, tj. „czuwanie", nawet mimo iż wcześniejszy odeń Psałterz floriański łacińskie **vigiliae** (liczba mnoga!) oddał właśnie słowem **wigilie**. Dziś czuwanie w przeddzień Bożego Narodzenia kończymy Pasterką, do wczesnie więc, i słowo **wigilia** przyjęło się w znaczeniu nie „nocy", lecz „przedednia Bożego Narodzenia" albo — że cenimy konkretne dary Boże, w znaczeniu „wieczerzy, którą się spożywa w przeddzień Bożego Narodzenia". Owszem, jeszcze dziś, acz bardzo, bardzo rzadko, mówimy **wigilia** lub **wilia** o przededniu każdego odświętnego dnia: **„W wilię** imienin matki" — pisze Kaden Bandrowski, ale to szersze znaczenie jest bliskie zgonu. Mówimy **wigilia** bardziej po łacinie, ale mówimy i **wilia**, nie tak cycerońsko. Obie postaci są jednako prawe. Krótsza **wilia** powstała stąd, że od piątego wieku aż po dobę Odrodzenia łacińskie **gi** (i **ge**) wymawiano **ji** (**je**) — po dziś dzień jeszcze prof. Stroński z lubością pisze o **jenerale** Sikorskim, my wszyscy o **rejentach** (łac. **regens**) i o **przywilejach** (łac. **privilegium**) — i **„wijilia"**, łatwo i lekko, uprościła się w **wilię**.

Mimo polskiego przyrostka i liście polskich, słowiańskich pozorów, łaciną jest wigilijny **opłatek**. Uczeni mężowie wywodzą bowiem **opłatek** z łacińskiego **oblata**, tj. „ofiarowana", o hostii używanego — jeszcze XVI wiek znał to słowo właśnie w znaczeniu „hostia": „Podali mu w rękę kielich z winem, a k temu patynę i **hostię abo opłatek**, który Ciałem Bożym zowią".

Daleko, daleko — jako się rzekło — zostały za nami miasta i wsi polskie. Ale jedno godzi się w związku z Bożym Narodzeniem przypomnieć: Jasło, nie bardzo podłe miasto w południowej Polsce. Jak **masło** pochodzi od **mazać** (***maz-sł-o**), a **wiosło** od **wieźć** (***wioz-sł-o**), tak **Jasło** wywodzą od **jedzenia** (***jad-sł-o**). Jedynie w nazwie miasta zachowało się to słowo w liczbie pojedynczej — poza tym były tylko **jasła**, mnogie, „miejsce, gdzie jedzą bydlęta, żłób". Dziecię Jezus narodzone spoczywało w żłobie, mówiono więc o Nim: „Nie w miękkiej kolebce, ale **w jasłach** Jezus leżał" (XVI w.). Scenę tę odtwarza widowisko Bożo-Narodzeniowe, szopka. Dlatego — choć słowo **jasła** w znaczeniu żłobu odeszło już chyba zupełnie — mamy jeszcze zdrobniałe **jasełka**, oznaczające właśnie owo przedstawienie figurkowe, szopkowe. Nie wypada już martwić mieszkańców Jasła wycieczką, dygresją na temat, że nazwa ich miasta niektórym dość nowa się wydaje (nawet mimo jedyności liczby pojedynczej), jako że najstarszą postacią dawnej nazwy żłobu była ponoć postać mnoga żeńska: **jaśle**, więc skończmy na tym.

Czternaste Boże Narodzenie na obczyźnie... W gościnie u różnych ludów... W rozsianiu, w jakim nie byliśmy jeszcze nigdy w naszych dziejach... Ale niech prąd wznowionej nadziei sprzęgnie nas dziś w jedno i popłynie falą jasną tam, gdzie naszego powrotu pragną i wyczekują liczne serca.

Stanisław Westfal

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

WSPOMNIENIA WOJENNE Z WĘGIER I POLSKI. Alexandra Orme, Polka, która wyszła za mąż za Węgra, ogłosiła po angielsku swe wspomnienia z czasów wojny i późniejszych rządów sowieckich pt. „By the Waters of the Danube" (Cresset Press, cena 15 sh.). Opowiadanie zaczyna się od chwili, kiedy zrujnowany Budapeszt dostał się w ręce wojsk sowieckich. Autorka rok później przedziera się potajemnie do Polski, by tam odwiedzić swą rodzinę.

Recenzent „Sunday Times" Alfred Duggan wyraża się o książce bardzo pochlebnie, stwierdzając, że napisana jest z werwą, przypominającą Dickensa, i z gorzką rzeczowością Swifta.

Recenzent uwydatnia szczególnie te ustępy książki, w których mowa jest o prześladowaniu przez komunistów ludzi, którzy należeli w czasie wojny do polskiego ruchu oporu podziemnego. „Udział w ruchu oporu przeciw Hitlerowi jest „handicapem" fatalnym: ludzie, którzy zostali uwięzieni przez nazistów, muszą być niesforni, wobec czego NKWD chętnie posługuje się zdobytymi archiwami Gestapo".

„To znieważające opowiadanie, wzięte z prawdziwego życia — kończy Duggan — czyni cierpienia Polski prawie nieznośliwymi do zniesienia („almost unbearable")".

KORESPONDENCJA SHAWA I PANI CAMPBELL. Pewnego rodzaju sensacją wydawniczą stało się ogłoszenie korespondencji między G. B. Shawem a znaną aktorką Stellą Campbell, z którą Shaw pozostawał w zażyłej przyjaźni przez przeszło 25 lat. W pewnej chwili przyjaźń ta omal nie uległa zerwaniu; groziło to wtedy, gdy p. Campbell wyraziła zamiar ogłoszenia listów Shawa w swej autobiografii. Shaw zaoponował gwałtownie przeciw publikowaniu tych listów za jego życia i ostatecznie na tym stanęło. Pani Campbell zmarła w r. 1940 i w testamencie swym wyraziła życzenie, by listy Shawa zostały ogłoszone, na co Shaw w swoim testamencie wyraził zgodę.

W rezultacie korespondencja, przygotowana do druku przez Alana Denta, ukazała się nakładem firmy Gollancz („Bernard Shaw and Mrs. Patrick Campbell: Their Correspondence", cena 21 sh.).

Jak twierdzą zgodnie recenzenci, z listów tych wynika, że stosunek między Shawem a p. Campbell miał charakter ściśle platoniczny. Nie zmienia tego faktu okoliczność, że listy Shawa pełne są wyrazów namiętnej miłości, podobnie jak jego, już ogłoszone, listy do innej wybitnej aktorki Ellen Terry. W obu wypadkach motorem afektów Shawa był jego głód uczuciowy i chęć posiadania kobiecego ideału. Mimo to żona Shawa bardzo była zazdrosna o jego przyjaźń z p. Campbell, co wyraźnie wynika z listów.

Shaw nie oszczędzał później swego ideału; wytykał w listach p. Campbell jej nieznośne usposobienie, które powodowało ciągłe scysje z autorami sztuk, reżyserami i aktorami.

Panią Campbell Shaw scharakteryzował w swej sztuce „The Apple Cart", gdzie występuje ona jako Orinthia, sam Shaw zaś jako król Magnus.

DANIEL ROPS O SWEJ PRACY PISARSKIEJ. Współpracownik tygodnika „Nouvelles Littéraires" Gabriel d'Aubarède przeprowadził wywiad ze znakomitym pisarzem katolickim Danielem Ropsem, autorem zakrojonej na olbrzymią skalę historii Kościoła, która ukazuje się tom po tomie (całość będzie liczyła jakieś 6.000 stron druku).

Pan d'Aubarède wypytywał Ropsa o technikę jego pracy, która pozwala mu na tak niezwykłą płodność pisarską. Rops przypisuje to najpierw surowej dyscyplinie, jaką na siebie nałożył. „Trzymam się — mówił — starej wypróbowanej zasady: „Nulla dies sine linea". Od z górą 25 lat zmuszam się do codziennego wstawania o godzinie 7 rano; o godzinie 8 siadam przy mym stole i nie ruszam się od niego aż do godziny 1. Ten długi poranek poświęcam wyłącznie pracy, będącej w toku. Co się tyczy popołudnia, to należy ono do moich przyjaciół, służy pisaniu artykułów załatwianiu korespondencji i redagowaniu czasopisma „Ecclesia".

Rops stwierdził dalej, że bardzo pomocna mu jest technika historyka, która oszczędza mu błędów i straty czasu. Tak np. w okresie gromadzenia materiału dokumentacyjnego do zamierzonego dzieła, pisarz potrafi sięgnąć od razu do źródeł najważniejszych, bez błąkania się po omacku i długiego szperania.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

BRYTYJSKIE WYDARZENIA KULTURALNE OSTATNIEGO OKRESU

BATALIA O RADĘ PRASOWĄ

W Izbie Gmin toczyła się świeżo ożywiona debata na temat tzw. Rady Prasowej (Press Council), której celem byłoby ustanawianie reguł ogólnych, obowiązujących prasę, i załatwianie innych spraw, związanych z wydawaniem i redagowaniem dzienników i czasopism. Partia Pracy stoi na stanowisku, że Rada ta powinna być powołana drogą ustawy, która określałaby zarazem statut Rady. W tym kierunku socjalista C. J. Simmons zgłosił wniosek, który poparty został przez liberała Grimonda, posłującego z wysp Orkneyskich i Szetlandzkich. Konserwatyści ostro wystąpili przeciw wnioskowi, twierdząc, że skrępuje on wolność prasy. Wypowiedzieli się oni za utworzeniem Rady Prasowej nie przez ustawę, ale przez dobrowolne porozumienie przedstawicieli prasy.

Wywiązała się gorąca dyskusja, w której labourzyści utrzymywali, że do dobrowolnego utworzenia Rady Prasowej albo w ogóle nie dojdzie, albo też nie nastąpi ono szybko wobec gwałtownego oporu „baronów prasowych", którzy obawiają się, że Rada zanadto by im parzyła na palce. Poza Simmonsem głównym mówcą z ramienia Partii Pracy był b. minister Morrison. Przypomniał on konflikt, jaki niedawno wywiązał się między jednym z dzienników („Daily Expressem") a jednym z pism niedzielnych („Observerem") na tle sprawy pani Maclean, żony zaginionego dyplomaty. W konflikcie tym — mówił Morrison — w grę weszły sprawy moralne i byłoby rzeczą pożyteczną móc tego rodzaju wypadki przedkładać Radzie Prasowej.

Ze strony konserwatystów poseł Ian Harvey zgłosił wniosek, stwierdzający, że Izba Gmin uchyla się od drugiego czytania projektu socjalistycznego. Popierając ten wniosek inny konserwatysta Deedes wypomniał p. Morrisonowi że wyraził się on kiedyś, iż należy i raśle pociąć nieco skrzydła. Morrison gwałtownie zaprzeczył, by miał kiedykolwiek ambicję uczynienia czegokolwiek w tym rodzaju i na jego żądanie Deedes wycofał tę insynuację. Główne przemówienie przeciw wnioskowi socjalistycznemu wygłosił pisarz i dziennikarz Beverley Baxter.

„Nie róbcie tego zasadniczego błędu — mówił — stwarzając machinę, która później, w innych rękach, stanie się narzędziem do kontrolowania i opanowywania pracy z jednego ośrodka. Przecież stało się to w innych krajach".

Przy obecnym składzie Izby Gmin wniosek socjalistyczny nie ma oczywiście szans przejścia.

ZNACZKI Z PODOBIZNĄ KRÓLOWEJ

Dnia 5 grudnia urzędy pocztowe w W. Brytanii poczęły sprzedawać pierwsze znaczki z podobizną Królowej Elżbiety II. Wydano na razie dwa estetycznie wykonane znaczki, po 1½ i 2½ pensa. Widniejący na nich portret Królowej w koronie wzorowany jest na fotografii.

Polskie płyty GRAMOFONOWE

NAJPIĘKNIEJSZE POLSKIE KOLĘDY
„Wśród nocnej ciszy",
„Bóg się rodzi",
„Lulajże, Jezuniu",
„Dzisiaj w Betlejem",
„Anioł pasterzom mówił",
„W żłobie leży",
„Gdy się Chrystus rodzi",
„Przybieżeli do Betlejem"
i inne.
Pieśni
Chopina, Moniuszki i innych słynnych polskich kopozytorów;
muzyka operetkowa,
polskie tanga,
walce i inne tańce;
pieśni i tańce ludowe;
płyty w wykonaniu zespołu harmonistów oraz wiele innych.
WIELKI WYBÓR
Wszystkie płyty nagrane w Polsce przy udziale najwybitniejszych artystów i zespołów muzycznych.

Zamówienia wykonujemy odwrotnie.
Płyty wysyłamy zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i do wszystkich innych krajów w specjalnym opakowaniu, całkowicie ubezpieczone.
Płyty można również nabywać w naszej firmie osobiście.
Lokal otwarty do g. 7-ej w., w soboty do 5-ej popołudniu.
Najbliższa stacja kolejki podziemnej: MARBLE ARCH.
Najnowszy, obszerny katalog polskich płyt gramofonowych wysyłamy na żądanie odwrotnie.
ZAMÓWIENIA NALEŻY KIEROWAĆ DO:
THE VISTULA PRESS LTD.
449, OXFORD STREET, LONDON, W. 1.

DRAMAT ŁUŻYCKICH WENEDÓW

(Dokończenie ze str. 8)

działalność pedagogiczna germańskich pastorów nie dała spodziewanego żniwa. Wenedzi okazali się niesłychanie twardą nacją. Dzięki ich biernemu oporowi cały ten okres wytężonej pracy misjonarskiej poszedł na marne, co skrupulatny w swym sprawozdaniu Jabłoński podkreśla z całym naciskiem, pisząc: „Doświadczenie wykazało, że po z górą trzydziestu latach — w takich mieszanych parafiach pastor nie mógł się dogadać ze swoją owczarnią. Z tego powodu, na zarządzenie władz centralnych, niemieckich pastorów zastąpiono pastorami sarmackiego pochodzenia."

Było to nowe posunięcie, zapowiadające całkowitą zmianę taktyki.

Analizując poprzednie niepowodzenia doktor Jabłoński stwierdza dodatkowo: „Trzeba przyznać w końcu, że brak nabożnych książek w języku słowiańskim sprzyjał w sposób naturalny krzewieniu się ignorancji i wynajmniej nie wzniecał najmniejszego zapału do książek w języku niemieckim. Barbarzyńska ta nacja, nie znając niemieckich książek — nienawidziła ich z całej duszy" („perfectly despised them", jak to określa angielski przekład listu). Bolejąc nad tym beznadziejnym stanem oświecenia Sarmatów, dr Jabłoński wyjaśnia swoim angielskim przyjaciołom, iż jedynymi pomnikami słowiańskiej „literatury" na Mśni i Łużycach była garść modlitw i hymnów religijnych, które konserwatywna, niezmordowana tradycja przekazywała ustnie z pokolenia na pokolenie.

Żeby przyspieszyć ten nieco za powolny proces wchłaniania „obcego" elementu, przyjęto zasadę nowego postępowania. Pionierem w tej dziedzinie był niejaki Gottlieb Fabricius. Z niełada trudem wyuczył się on języka wenedów i stał się nabożnym a żarliwym apostołem pruskiej ewangelii. Jabłoński nie ma dla niego słów uznania. Pieje pochwalne pean na cześć niezapomnianych zasług oraz skrupulatnej metodyczności, z jaką Fabricius — krok po kroku — zdobywał zaniedbany teren. Pierwszą czynnością nowego apostoła było tłumaczenie katechizmu na język słowiański. Wkrótce potem przyszła kolej na „pomnikowy" przekład całego Nowego Testamentu (1709). W czasie, kiedy Jabłoński koncypował swój „list do Chamberlayne'a", a było to w roku 1714, Fabricius zajęty był przygotowywaniem misternego a uczonego wydania Księgi Psalmów i Hymnów. Placówką, na której niezmordowany Fabricius sprawdzał wyniki swojej doświadczalnej metody, była, jak informuje Jabłoński, parafia „Peitzen", składająca się z sześciu wiosek.

Fabrycjuszowe poczynania były jednak stadium przygotowawczym. Planowe uderzenie w żywioł sarmacki przyszło z góry, kiedy pobożną ideę swym autorytetem poparł król pruski Fryderyk. Asumpt, jak wynika z wywodów Jabłońskiego, dała petycja wenedów z parafii „Grapke-Dubro", w Nowej Marchii. Jak można się domyśleć, skarżyli się oni na przymusowe narzucanie im języka niemieckiego. Łaskawy monarcha okazał się wspaniałomyślnym dobroczyńcą uciśnionych Wenedów. Dekretem królewskim z dnia 22 września 1708 roku Jego Królewska Mość miłościwie postanowił, co następuje: „Jako że nie przypominamy sobie, żeby używanie tego języka słowiańskiego zabronione zostało jakimikolwiek edyktami czy rozporządzeniami królewskimi, przeto — pisał Fryderyk do rządu Nowej Marchii — dobrze powinniście się zatroszczyć, żeby wymieniony kościół w „Grapke-Dubro" otrzymał pastora, który nie miałby przeszkód w wykonywaniu swoich obowiązków ze względu na nieumiejętność tego języka. Ze swej strony natomiast uważamy, że posiadanie w łonie naszego dominium podwładnych mówiących obcym językiem — przydaje tylko glorii naszemu panowaniu."

Jak widać z entuzjazmu Jabłońskiego, owo salomonowe rozstrzygnięcie królewskie zaczęło nareszcie wydawać oczekiwane owoce. Nową zasadę wprowadzono w życie nie tylko w parafii „Grapke-Dubro", ale i wszędzie tam, gdzie sięgało ramię królewsko-brandenburskiego autorytetu i gdzie liczyła się rzutka inicjatywa nadwornego kaznodziei.

Osamotniona walka Słowian weszła teraz w dramatyczne stadium. Naciskane powolną, systematyczną ekspansją rosnącego prusactwa — kurczyły się stopniowo papistowskie parafie sarmackich wenedów. Odpadały przede wszystkim, jak pisze Jabłoński, dzieci.

Na dobitek i na ironię, jakby jeszcze mało było tego brutalnego nacisku od wewnątrz, w sukurs miejscowym eksterminatorom przychodzili zaprzyjaźnieni z nimi angielscy „misjonarze", o czym wielebny teolog Jabłoński pisze z rozrzewniającą wdzięcznością w zakończeniu swego „listu do Chamberlayne'a". Ze względu na dużą oraz wcale niedwuznaczną „aktualność" tego podziękowania nie od rzeczy będzie przytoczyć je w pełnym brzmieniu angielskiego tłumaczenia z roku 1727. Byłby to gotowy argument na wypadek, gdyby jakiś Bogu ducha winien Anglik — paląc swe nieodstępne, olbrzymie cygaro — nie uwierzył „bajkom" o polskich plemionach nad Odrą, Nysą oraz nad... Sprewą. Byłby to również bardzo „żenujący" dla krótkiej pamięci Brytyjczyków dowód, że przecież sami kiedyś „zajmowali się" tym problemem. Oto tekst wymownego podziękowania „faithfully translated from Latin into English": „The piety of your nation had contributed somewhat to this work. For your excellent Mr. Hales, when he was some years ago in this country, having got a little English Treatise, called „The necessity of caring for the soul", translated it into the wenden tongue, and printed at Budissin, a city of Saxony, he distributed copies among them to the great benefit and edification of that ignorant people".

Nabożno-cyniczne uwagi w „Liście do Chamberlayne'a" zamyka doktor Jabłoński następującym stwierdzeniem: „Istnieją jeszcze w naszym kraju pewne parafie papistowskich wenedów, które mamy nadzieję nawrócić na protestantyzm za pomocą czytania oraz drukowania książek w ich narodowym języku. Owo czytanie oraz rozdawnictwo książek odbywają się bezpłatnie."

Zdanie to brzmi jak końcowy akt dramatu. Zamknęła się w nim ponura historia „sarmackich wenedów" z nad Wisły, tak jak zamknął się tragiczny los podbitego szczepu w „Lilli Wenedzie". Prusactwo zabiło osamotnionych Słowian. Zagubiły się wśród Wenedów związki z Rzymem. Jak okaleczony kikut — język słowiański został jako dowód walki oraz dokument odrębności. Jak tragiczna „arka przymierza między dawnymi a młodszymi laty".

* * *

Historia chodzi dziwnymi drogami.

Detaliczne uwagi „wielebnego a wielce uczonego" doktora Daniela Ernesta Jabłońskiego przesłane zostały z Berlina jako wskazówka dla protestanckich bojowców w Irlandii. Brandenburskie doświadczenia miały podeprzeć i umocnić lokalną tezę pastora Richardsona z Co. Donegal, tezę, że nawracanie tubylców za pośrednictwem ich ojczystego języka jest najbardziej niezawodnym sposobem asymilacji... nie tylko religijnej. Wielebny proboszcz z Co. Donegal wykołatał odpowiednią ustawę w parlamencie irlandzkim. Izba wyższa odrzuciła jednak ten projekt. I królowa Anna nie udzieliła swego poparcia. Widocznie nie podzielała poglądów Fryderyka pruskiego, że „posiadanie w łonie dominium podwładnych mówiących obcym językiem — przydaje tylko glorii panowaniu." W wyniku tych różnych metod w walce o dusze — Irlandczycy zagubili wprawdzie język, ale zachowali wzmocnioną prężność wiary katolickiej wraz ze związanym z nią nieodłącznie poczuciem odrębności narodowej.

Wiesław Pisarczyk

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W.2. Telefony. Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal or Money orderami, względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//). wystawionych na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1, w tekście 50 proc. drożej, na stronie tytułowej 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kulakowski, 101, Augusta Lambiotte, Bruxelles 3. — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 250 DM. Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Shiphhorst 2. i St. Mikiciuk (13 B) München 54, Seehamerstr. 4, Bar. 16 B/2 — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse Case Postale 18, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski Anggatan 6c. Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 28., pocztą lotniczą 53. Przedstawiciele: 1) Mrs. J. Stojanowska, 83 East 22-nd Street, Bayonne N.Y. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue Detroit 7, Michigan.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.